



ZDRÓJ

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE UMYŚLOWEJ

Nakładem Spółki Wydawniczej „OSTOJA” w Poznaniu. — Pod kierownictwem JERZEGO HULEWICZA.
ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: „Zdrój” Poznań — Plac Wilhelmowski 17.

Prenumerata roczna (na pocztę) — 40 marek, **półroczna** — 20 marek, **kwartalna** — 10 marek.

Zeszyt pojedynczy 2 marki. — **Przesyłka pod opaską** 15 fen. za zeszyt.

OGŁOSZENIA: Cała strona — 150 mk., pół strony — 80 mk., ćwierć strony — 45 mk., jedna ósma strony — 25 mk.

ADMINISTRACJA otwarta codziennie od godziny 11-tej do 1-szej i od godziny 3-ej do 7-ej.

OD REDAKCYI: **Rękopisy** zwraca się po nadesłaniu kosztów przesyłki. — **Odpowiedzi na listy** za nadesłaniem marki pocztowej. — **Rękopisy bez nazwiska autora** i wyraźnego adresu niszczą się bez czytania. — — — **Redakcja** nie wdaje się w dyskusje na temat nieprzyjętych rękopisów ani nie podejmuje się żadnych ocen tychże.



Wykwintną brylantową biżuterję, znakomite zegarki

poleca

W. SCHULZ w POZNANIU

—: Nowa ul. 8., w Bazarze. — Tel. 1484. — Rok założ. 1873. —:



„Westa“

Bank Wzajemnych Zabezpieczeń na życie

Rok założenia
1873

w Poznaniu

Rok założenia
1873

Zawiera wszelkiego rodzaju ubezpieczenia
na **dożycie**, na **wypadek śmierci**, na
posag z rewizją lekarską i bez rewizyi

W razie przedwczesnej niemocy zwolnienie
— od spłaty składek i płatność renty —

Nizkie składki

wzrastające dywidendy

dogodne warunki

Ubezpieczenia ryzyka wojennego przyjmuje się
— i w czasie wojny —

Siedziba dyrekcyi w Poznaniu
w własnym gmachu św. Marcin 61

Oddział w Warszawie: Aleje Jerozolimskie 31
Agencye specjalne w każdym większym mieście.

Bank Ludowy

w Inowrocławiu

załatwia z **członkami** wszelkie interesa bankierskie

Pożyczki

na przystępnych i dogodnych warunkach

Papiery wartościowe

jako pewna i korzystna lokacja kapitałów

Rachunki czekowe

z wielkimi dogodnościami dla wpłat i wypłat

Udziały członków

przynosiły **8 procent** dywidendy

Wkładki i oszczędności

oprocentowuje od dnia złożenia pieniędzy

— po 3, 4 i 4½ procent —

ADRES:

Bank Ludowy, Inowrocław (Hohensalza).

ZDRÓJ

ROK 1 1917
LISTOPAD. ZESZYT 4.

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE UMYŚLOWEJ

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: OSTOJA — POZNAŃ. PLAC WILHELMOWSKI 17.

TREŚĆ: O pełnię życia — Nowina (przyozdobił Jerzy Hulewicz). Rycerz, śmierć i dyabeł — Józef Miraki. Z cyklu: Czerwone światło ogniska — Arkady Fiedler (przyozdobił Jan Wroniceki). U poetów (Karol Spitteller) — Miriam (przyozdobił Jerzy Hulewicz). Książę przybierający (C. D.) — Rabindranath Tagore (spolazczył Jan Kasprzowicz). Znajda (DK.) — Aleksander Olkiewicz. Muzyka w Polsce po Chopinie (C. D.) — Adolf Chybiński. Róża Morymundu — Teodor Tyc (przyozdobił Wacław Jarocki). Miscellanea.

RYCINY: Rycerz, śmierć i dyabeł — według miedziorytu Albrechta Dürer'a. Chłopiec z osielkiem — rysunek Alberta Beana'd'a.

O PEŁNIĘ ŻYCIA.



ziś pisać o pełni życia! Czy nie zakrawa na ironję? Dziś, gdy świat cały jęczy pod jarzmem najsroźszem, jakie kiedykolwiek nawiedziło ziemię. Dziś, gdy nieomal wszystkie narody w zacieklej zajądlivości, w walce na śmierć i życie zmagają się w straszliwych zapasach, gdy zdają się w ślepej nienawiści własnemi rękami grzebać całe wiekowe zdobycze kultury i cywilizacji, gdy jednostka, wpleciona przemocą w toczące się z przeraźliwą szybkością koło wypadków, zmuszona jest wbrew swej woli przykładąć ręki do ogromu zniszczenia i klęsk, zaprzecić się swego istotnego powołania, wyżyć się swej woli, a stać się służalczem narzędziem rozjuszonego Marsa. Dziś, gdy postułaty wiekowe, ku których urzeczywistnieniu świat, choć wolno, lecz stale zmierzał, zda się, legły wszystkie w wirze potężnej nawałnicy, pogrzebane w gruzach przybytków pańskich, świątyń sztuki, na które z dumą Europejczyk spoglądał, w zgłiszczach zamków, co wieki przetrwały, chat i domostw, gdzie pogrzebano szczęście niezliczonych rodzin — dziś marzyć nam o pełni życia, dziś, kiedy stoimy jeszcze wśród pożogi wojennej, gdy widmo głodu stuka do bramy, a straszliwsza jeszcze jęzda — zaraza łada dzień zajrzy nam w oczy?!

Tak! Dziś, właśnie dziś, kiedy tęsknota za pełnią życia tak wyolbrzymiała, nabrała tak niesłychanego napięcia, że pono chyba pęknie struna i przerwany zostanie tok potwornych wypadków. Dziś właśnie, gdy niema prawie duszy ludzkiej, któraby nie jęczała pod brzemieniem straszliwego przymusu, barbarzyńskiej niewoli, która ją kępuje na każdym kroku i zniewala jej siły i uzdolnienie wręcz w przeciwną stronę kierować, niżby sama tego pragnęła. Dziś właśnie niech głos nasz nabierze potęgi gromu, niech będzie sygnałem nowej ery, zwiastunem prawdziwej istotnej wolności.

Nie mówimy tu o wolności politycznej. Wolność polityczna jest jednym z najważniejszych warunków do osiągnięcia pełni życia dla jednostki i narodu całego. Czyż jednak niewola polityczna nie służyła nam jako wygodny parawan wobec zarzutów wsteczności, partykularyzmu i sobkostwa? Czyż z czystym sumieniem kłaść możemy jedynie na karb niewoli politycznej, że w naszym Księstwie Poznańskim materia poczyzna panować nad duchem, że nasz stan średni, którego zazdrości nam słusznie Królestwo i Galicja, tak mało przesiąkł tradycjami polskimi, a raczej przejął się duchem obcym, dorobkiewiczowskim, że zdołaliśmy wytworzyć u siebie typ dotąd nieznanym — typ polskiego filistra? Czyż wreszcie wina jedynie niewoli politycznej, że żyjemy w Księstwie wtłoczeni w ciasne koło życia codziennego, poza pracą zawodową świata nie widząc, jakby deskami był zabity, żeśmy stworzyli u siebie atmosferę świata oderwanego od reakty Europy

idąc staremi utartymi ścieżkami, opierając się wszystkiemu, co nowe, boć to nowe wymaga wysiłku mózgu i ducha, a my wolimy, by za nas myśleli inni? U nas każdy „nowator“ na polu artystycznym, czy literackim jest złoczyńcą, uwodzicielem, ba — antychrystem, choćby wartość tego nowatorstwa w reszcie Europy była już od dawien dawna uznana i przetrwawiona.

Tak przywykliśmy do naszych powszednich słabostek, że ani nam się w głowie nie może pomieścić, by ktoś dla innych celów, jak dla celów ambicji, jaśnienia i wyróżniania się mógł wyłamywać się z pod zwykłych szablonów uświęconych tradycją. Kto nie maluje jak Wywiórski (nie sięgając po za wzory wielkopolskie) — jest partaczem, kto nie pisze à la Sienkiewicz, nie jest artystą. U nas wre zacięty spór o artystyczną wartość t. zw. „Młodej Polski“, podczas gdy w mniemaniu Warszawy i Krakowa ta „Młoda Polska“ już jest Polską „starą.“ Gdy Kubicki wystawił swoje prace ekspresjonistyczne, naszym domorosłym krytykom ani na myśl nie przyszło zagłębić się w twórczość dotąd u nas nieznanego kierunku. Gdy mniej śmiały (bo nie aż tak radykalny jak Kubicki) Hulewicz począł wystawiać prace pointylistyczne, określono je jednym terminem „wstrętne“ i w tem powiedzeniu zamknięto całe bogactwo ducha kołtuna poznańskiego. Gdy Przybyszewski odważył się na tak „niesłychany“ krok, by w Dzienniku Poznańskim umieścić artykuł o własnej książce, dano mu „słuszną odprawę“ w znakomitym zresztą paszkwilu „autoreklama nagiej duszy.“ Gdy założono spółkę wydawniczą Ostoja i puszczono w świat „Sitę“ Kasprowicza i „Szlakiem duszy polskiej“ Przybyszewskiego, posypały się gromkie protesty ostrzegające przed „nowatorami“, którzy sięją zaraz i szerzą zgniliznę. Gdy wreszcie wyszła zapowiedź nowego czasopisma „Zdrój“ — zawrzało jak w ulu. Ostoję uznano już za mniej niebezpieczną, ponieważ drukuje m. i. książki „nieszkodliwe“ jak o Kościuszcze i o kulcie ogniska domowego, „Zdrój“ natomiast ściągnął na siebie całe odium powołanych i niepowołanych stróżów dobrych obyczajów. Sądzę, że redakcja jest nawet dumną z wrzawy, która około programu „Zdroju“ powstała. Analizy poznańskie niezbyt często notują zdarzenie tak niezwykle, by dokoła kwestji artystycznej wywiązała się gorąca polemika — jeden tylko moment był stereotypowym powtórzeniem utartych poznańskich szablonów: brak szczerości i rzetelności w polemice, która gnębiła „nowatorów.“ (Nie u wszystkich — notuję to z uznaniem.)

Dość jednak przykładów.

Brak tolerancji, kępowanie indywidualności, zapędy hierarchiczno-autokracko-reakcyjne — oto zapory do swobodnego pełnego rozwoju wszystkich zdolności i sił społeczeństwa. Utrzymywanie szerokich mas w mniemaniu, że wszystko, co nie jest uświęcone tradycją, wszystko, co nowe jest złe i odwróci od wiary i kościoła (choćby z kwestji wiary nic nie miało wspólnego) jest świadomą zbrodnią popełnianą na społeczeństwie. Trzymanie tegoż społeczeństwa na pasku, jakoby trwało wciąż jeszcze w stanie niemowlęctwa, jest szkodliwe dla postępu. Kto natomiast postęp każdy uważa za rzecz zdróżną (bo i tacy bywają!), ten walczy nie *bona*, lecz *mala fide*, nie walczy dla dobra swego społeczeństwa, lecz dla utwierdzenia swej władzy, swej zachłanności, jak to czynił smutnej pamięci carat rosyjski.

Spółeczeństwo nasze, które Szczepanowski zalicza do najzdolniejszych w świecie, ma święte prawo do pełni życia, oddychania pełną pierśią, wchłaniania każdego świeżego powiewu, czy z zachodu, północy, wschodu lub południa, albowiem myśl nowa działa pobudzająco i zapładniająco; każdy zaś naród, który się broni przed wpływami z zewnątrz, musi skostnieć i spleśnieć i nie tylko stanie, ale i cofnie się w swym rozwoju, jako cofnęli się Chińczycy, którzy będąc w posiadaniu wysokiej kultury, odgradzili się „świętym murem“ od reszty świata. —

Komu Bóg odmówił zdolności odczuwania całego przepychu skarbów sztuki — ten jest litości godzien, albowiem w kalectwie urodził się i nie mógł żyć życiem pełnem. — Kto wprzagnięty raz w jarzmo codziennej pracy pcha do śmierci codzienną taczkę w pocie czoła — z przysmusu — ten jest niewolnikiem swej pracy, ten nie żyje życiem pełnem.

Kto trwa w ciemności ducha i nie zaznał nigdy, ile przecudnych, potężnych a świetlanych rzeczy zawiera bogaty dorobek myśli i uczucia ludzkiego — ten nie żyje życiem pełnem.

Kto zapatrzony w jeden punkt, nie wyrzał po za ciasny obręb koła, które sam sobie zakreslił, nie pokusił się dać oczom pić cudu twórców ludzkich, a uszy i duszę nakarmić pieśnią wielkich piewców — ten zmarnował życie, albowiem nie żył życiem pełnem.

Kto trwa w lenistwie ducha, a żyje tylko chlebem, by w wygodzie, dostatku a lenistwie dokonać żywota swego — ten sam wyzbył się najlepszej części, albowiem nie żył życiem pełnem.

Komu Bóg dał serce czujące i duszę zdolną odczuć czar woni, barw i dźwięków, a inni stanęli mu w poprzek i nie dali skosztować piękna, ten wołać ongi będzie o pomstę do nieba, albowiem nie dano mu żyć życiem pełnem.

Słusznie nazwano wiek dziewiętnasty wiekiem techniki. Niebywale wynalazki w tej dziedzinie, wynalazki nie tylko techniki, lecz i w każdej gałęzi wiedzy otworzyły nam nowe horyzonty, ujarzmiły, mnogi sił dotąd nieokiełzanych, ślepych a strasznych i zmusiły je służyć swemu panu — człowiekowi. Mimo wszystko jednak, mimo ogromnego dorobku ubiegłego wieku człowiek pozostał niewolnikiem wszystkich sił, których panem się mienił. Zmechanizowawszy życie samo, stał się nikłą częścią w ogromie organizmu świata. Zdobyte wiedzy miał służyć jako środek do celu — stały się celem samym. Wiek dwudziesty dokonać musi wielkiego dzieła i przywrócić właściwy stosunek między duchem a materją. Stać się musimy właściwymi panami wszelkich zdobyczy, ujarzmić je prawdziwie i podporządkować właściwym celom.

Otóż idzie wielki zew od wschodu i zachodu, północy i południa! Świat cały w poruszeniu, w niesłychanych dotąd zapasach walczy o lepszą przyszłość, o nową, lepszą erę, o królestwo ducha nad materją. Choć nie ten cel przyświecał tym, którzy krwawy bój ten wszczęli, jednakże sam on się wyłonił zwycięsko. I jakoby fatalne przekleństwo: materją, która stała się bożyszczem ludzkości, spowodowała nicomal jej zagładę, wynalazki i cały dorobek wiedzy zużyła na szerzenie spustoszenia, śmierci i głodu. Jedno jednak jest pewne: do życia, którem żył wiek przeszły, my już nie powrócimy. Wrócimy, lecz w zmienionej, szlachetnej formie. Tęsknota, która echem rozdzwoniła się w wszystkich sercach — tęsknota do pełni życia jest zwiastunem lepszej przyszłości, którą wiek nasz zgotuje przyszłemu pokoleniu.

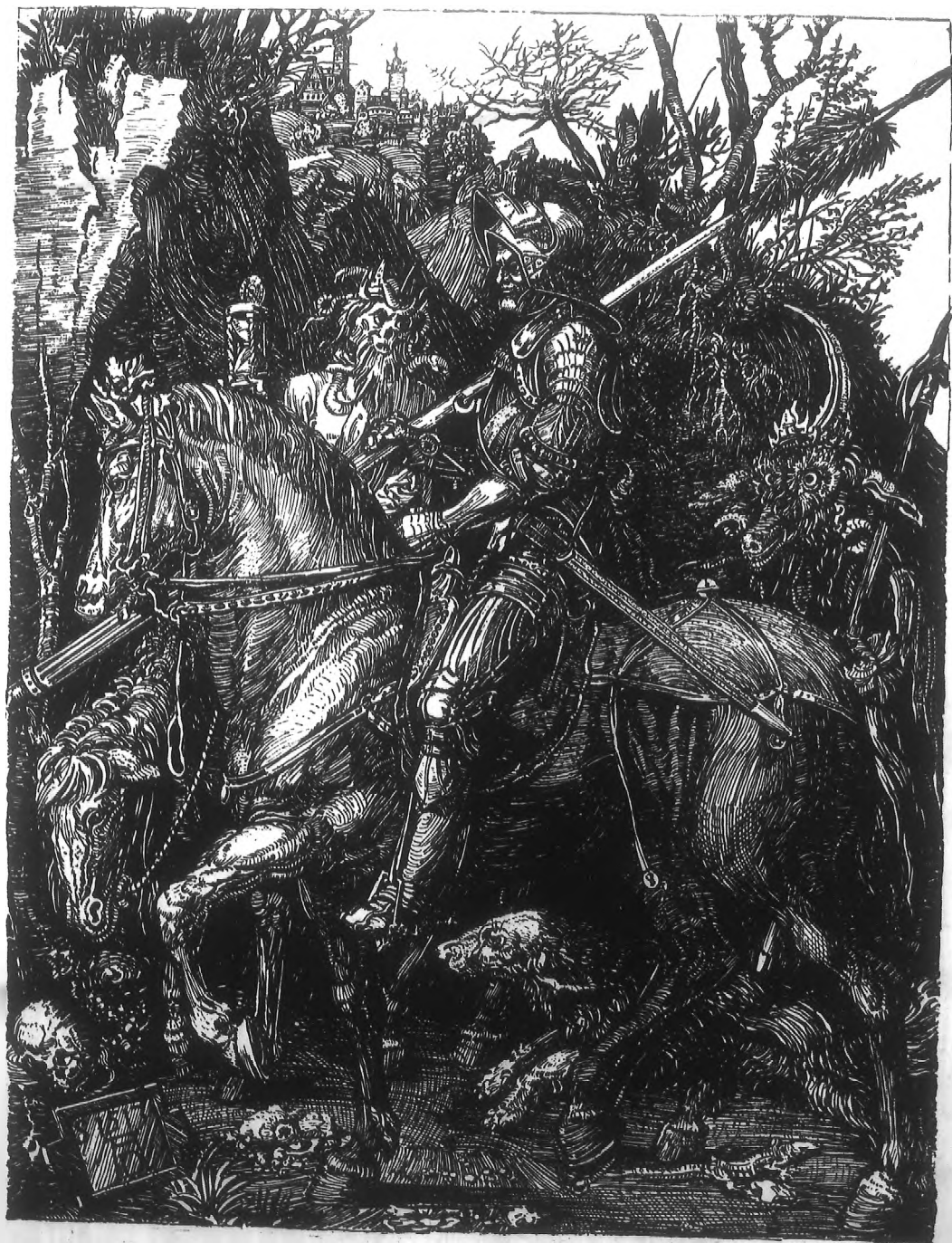
I naród polski, którego najstraszniejsza zawierucha wojenna nie zdołała wymazać z karty Europy, mimo iż nie oszczędziła go żadna z najstraszniejszych klęsk — i naród polski sposobi się do nowego życia.

Kto powołany będzie do budowy gmachu państwowego, niechaj buduje a rąk nie zakłada. Komu naród powierzy pieczę nad wychowaniem młodego pokolenia, niechaj baczy, by godnie spełnił swe posłannictwo. A ci, którzy odziedziczyli wielką spuściznę Mickiewiczów i Słowackich, niechaj nie milkną wtedy właśnie, gdy naród najwięcej potęgi ich ducha potrzebuje. A kto ma uszy ku słuchaniu — niechaj słucha!

Idziemy w nowe życie — w życia pełnię.

NOWINA.





JÓZEF MIRSKI.

RYCERZ, ŚMIERĆ I DYABEL.

Dyrera wazak znacie sztych:
CZŁEK-RYCERZ i DWOJE LICH:

w żelazo Rycerz zakuty,
z wzniesioną na świat przyłbicą;
w oczach się czai grom buty,
w beztrwogi fald stęgło lico;
jak lew okraczył rumaka,
przywarł doń: nie drgnie kulbaka,
lewą łeb konia powściąga,
za lejc go jąwszy, wędzidło —
prawicą zaś drzewce draga,
z grotem nadzianym na szczyt
dzierży, — jak Boże Straszidło,
jako Człowieczy Zwid...
Rycerz niezłękły i hardy
oczyma pełnemi wzgardy
a tak zimnemi, jak stal,
w bezkresną patrzy dal...
Ni w lewo spojiera ni w prawo,
nietrwożny żadną zjawą, —
jak piorun spokojny i przężny,
idei żołnierz zaciężny, —
jak piorun, jak lew, jak sęp...:
wzrok wzbija przed się wprzód,
wał mroków drze na strzęp, —
przez gór i lasów wręb
dumę swą niesie i trud...
W górze po za nim GRÓD
wież lasem niebo bodzie —
I cóż, że za nim Gród,
choć rozkosz i miłość w grodzie?
I cóż ROZKOSZY GRÓD,
gdy przed nim jasny gorze Życia Cud?

Bez giermka ruszył i drucha,
sam jeden, — piorunem ducha
i męstwa zbrojny li mieczem
i tem szaleństwem człowieczem,
co od piorunów i miecza
straszniejsze: KŁĄTWA CZŁOWIECZA!
Sam jeden ruszył, bez drucha,
a w koło pustać głucha...
jedno to psiako wierne,
wiernością swoją rycerne,
za panem człapie w tropy,

na głazach krwawiąc stopy,
bez troski, jak on, i trwogi,
choć nie zna kresu tej drogi...

Oto w LAS cichy, mroczny,
grozą i strachem uroczny,
wjeżdża już Rycerz srogi:
skarłale mrą w nim drzewa
jak wiedźm upiorna gromada:
ani w nich wiatr nie śpiewa,
ni ptak w przelocie siada,
ni słońca złote promienie
wnikają w gęste cienie,
ni gwiazd błękitne strzały
w las ten wpadają struchlały...
Mrok jeno pelga dołem
i górą się rozwiesza,
Noc z Ciszą rządzi tu społem
i widm poczwarnych rzesza;
po zgnilej jeno ziemi
czołgają korzenie — jaszczury, —
gałęzie ramiony krętnemi,
jak piekiel potępieńce,
w nieczystej splatają się męce...

Przez taki to Las ponury,
gdzie śmierć i przerażenie
i noc i kamienne milczenie
i lęk, co pelza, jak gad,
CZŁEK-RYCERZ jedzie w świat...
Ludzkie tu leżą kości,
bialutkie w swej nagości, —
wdeptana w ziemię czaszka,
na rdzawy rzucona piach,
jak poniechana igraszka,
próchnem prześwieca w mchach
(zetała ducha trumna,
prująca się we szwach —):
w jej wnętrzu, gdzie ongi mył dumna,
i boża tłała moc,
dziś płocha się gnietłdzi fraszka,
ślepa martwota i noc...

Straszny to DUCHÓW GOŚCINIEC,
co tędy mocarne aszy
w on złoty słoneczny tyniec,
jak orły, jak sępy, jak lwy, —
lecz zanim kresu dobiegły,
w proch rdzawy kośćmi legły...
Strasza to Duchów droga,
straszniejsza ŻYWYM PRZESTROGA;
oto pod końskie kopyta
nagle się czaszka potoczy, —
skrą siną błysną oczy,
bezzębne szczekną szczęki
i jakiś GŁOS zaskowitya:
„Biada! Rycerzu Męki!”...

Nie lęka się Rycerz Boży,
ani się poczwara trwoży,
co w leśnem uroczysku
ohydną się jawią postacią:
ŚMIERĆ na widmowem konisku
i DYABEŁ z zwierzęcą racią...
Śmierć: lichu trupie, bez nosa,
z odartą ze skóry twarzą,
w oczach jej węgle się jarzą,
na głowie żmije miast włosa
łyskając łuską siną
w okół się skroni winą,
a w czoło obręcz wbita,
korona złotolita...
Rękę wyciąga kościaną
i poprzód oczy rycerza
klepsydrą potrząsa szklaną
i zęby w śmiechu wyszczerza
i widmem kresu nęka:
„Cóż trud? i wola? i męka?
coż czynów piorunny młot?
i wniebosiężny lot?
gdy u żywota granic
z nadchmurnych tych krzesanic
w otchłań wpadamy bez dna
a nicosć nad nami lka,
że trud żywota — na nie?”

A z tyłu, za końskim zadem
rycerskim chroma śladem,
rycerskim śladem idzie
w bezmiernej swej ohydzie
CZART-LICHO, piekiel stwór
(od wszystkich straszniejszy zmór)...
W zwierzęcy odziany kształt
Bogu zadaje gwałt:
(tak to artysta obleka
w ten bezkształt naturę człowieka,

co, chociaż duchem żyw,
zwierzęctwem jest pokaran:
patrz! nie wiesz: wieprz to czy baran,
wół, satyr, nietoperz czy gryf?)
okryty w poczwarne skrzydło,
jak płaszczem Król-Straszdyło,
— królewskie przedrzeźnia znamiona
ten róg i z kości korona,
co z głowy mu wyrasta, —
i kij on, jak berło czy dzida,
u końca by grotem pierzasta, —
i pyska bezzębna ohyda...
Tak za rycerzem chroma
rycerza poczwara widoma.
Tak zawsze u drogi twej stawa,
Człowieku, Rycerzu boży,
Śmierć, co cię kresem trwoży,
i Czart, co się naigrawa...
Słysz więc, jak Rycerz on prawy,
broniąc się hańby, niesławny,
w tym Lesie, co zwie się ZDRADA,
z dwojgiem upiorów gada:

ŚMIERĆ:

Jam jest od wieków i po wieki będę —
przed słońcem byłam ja i przed człowiekiem —
a gdy się świat nakryje trumny wiekiem,
płacząca nad nim, jak piastunka, sięde...
We mnie początek oraz kres wszechbytu,
ze mnie są gwiazd nieprzeliczone roje,
co kiedyś zetlą się i z niebios szczytu
runą zmurzałe w otchłanne ukoje;
z mego rozkazu wszelki ruch się wszczyną,
z nicości idą wszechżywota pędy,
w moich się mrokach skra zapala sina,
i bujnie strzela z nich kiel bytu wszędy —
w podziemiach nocy, (kolebki i grobu)
źródł żywota twórcze szumią gwałty:
strumienie mocy huczą w żyłach globu,
póki się w żywe nie obloką kształty...
Ze mnie, z bezedna otchłani i mroku
i twój, Rycerzu, wyszedł duch w blask słońca,
jak złoty cud, jak gwiazda gorejąca,
z snu rozpowita i martwoty troku...
Nieba i gwiazdy i morskie bezmiary,
Ogień i Woda, Wicher i Ducha żary
ze mnie są wszystkie, com NIEURODZONA,
a światu jestem RODZICA, — i we mnie
w głąb mej nicości, w bezprzestrzenne ciemnie
głusz mych znów wnijda, kiedy świat ten — skonał.

RYCERZ:

Zadęłaś w puzon wielkich słów — coś słowa,
które nie twoja wymyśliła głowa?

A przeto puste są i nicosć głucha
wsiąka je wszystkie, jak martwe pogłosy;
oto mojego nie dosięgłszy ducha,
ledwie upadły, nikną, jak pot rosy,
który wessało słońce, a wiatr lotny
w powietrznych szalów poniósł tan zawrotny.
I cóż, że kradniesz Bogu głos? i w Boga
klamnie się stroisz twórczą moc — lichota?!
Ten jeszcze, komu nocy czerw i trwoga
wyżarły oczy i miazgę żywota,
a Ból, jak kat w cierpienia wplótszy koło,
gruchoce kości i w rozwarte rany
zapuszcza głównię jarzącą, — z wesołą
twarzą i śmiechem na cześć twą peany
wysławiający, — i ten, kiedy wierzy,
że go do złotych powiedziesz rubieży,
kiedy się NOWE rozpoczyna ŻYCIE,
twojemu władztwu w nadziei zachwycie
zadaje klam!! — Te oto twe łachmany,
po za którymi zgnita kość i próchno,
CZŁOWIEK, tęsknoty krzyżem pomazany,
co mu w cierpieniu matką, siostrą, druchną,
za PŁASZCZ ŻYWOTA ma uwity z jaśni
i błamów słońca i promieni zorzy,
i, idąc k'tobie, sądzi iść w kraj baśni
i w nieśmiertelnej Potęgi ŚWIAT BOŻY,
gdzie się bez bólów i pokus szatana
iści w cud czynu WOLA nieskalana! —
Więc choć Martwicą jesteś, duch — ANIOŁEM
widzi cię, z ogniem na oczach i z czołem
w błyskawic złotych ustrojonem wieniec:
OLBRZYM w Świt kroczy i z za zrębu ziemi,
z za gór zapala płomienny rumieniec,
i trzosem gwiazd potrząsa dłońmi przejasnemi,
w Mrokach, po gładnej idący opoche, —
a ziemia pod nim w radosnej otusze
gnie się a Wicher skrzydłami łopocze
a Noc w świetlanej płonie zawierusze...!

ŚMIERĆ:

Oto wasz UPIÓR, samotwórca złuda,
co blachman rzuca wam na oczy, ślepec!
najdroższą pije krew, z pod serca chlepec
napój żywota, mamił i cuda
rozpala złote, na dalekie brody,
na nieskończone wywabia przygody,
na karkołomne szczyty, sępie perci,
a potem — w przepaść strąca — na żer ŚMIERCI,
więc choćbyś w podziem umknął czy podniebie,
u kresu twego stanę JA — zwycięska!!

RYCERZ:

Kłamna twa mądrość, skroś przezieram ciebie,
jak trzęsawisko, mowa twoja grzęska!

Nie zdradny GŁOS to, co z podziemi ducha
woła — i wali, jak młot, — i IŚĆ KAŻE!...
Nie bałwochwalcze, fałszywe OLTARZE,
na których płomień z krwi ofiarnej bucha!
Ani nam GWIAZDY kłamną pieśń zawodzą,
że nieśmiertelne CZYNY, co się rodzą,
tak jako one, w pożarach Pragnienia!

ŚMIERĆ:

A choćby czyny, lecz nie wy — WCIELENIA!

RYCERZ:

Kimże ja jestem? — TEM, CZEM MOJE CZYNY!
Ile mych czynów, tyle mej wieczności, —
one przetrwają, choć spróchnięją kości
i ciało moje w proch się zetrze siny...
To twoje padło! reszta w Bogu — boża,
jak ON — wieczysta!..

DYABEL:

Na jakież bezdroża
Myśl twa ucieka, jakie snów mgławice!
LĘK twój jak tarczą, Bogiem się osłania!
Czyn? — nieśmiertelność wieczystego trwania? —
I te w bezmiary rzucane księżyce
Marze? — I snów gwieżdziste poematy,
pisane krwawą na Niebios otchłani? —
I Wy, Rycerze, — kłatwą chceń smagani
tą MIŁOŚCI RÓŻĄ rozgorzali,
co wam na oczach i czołach się pali?!..
A wzwyż — nad męki wzniesiony i katy
BÓG — w jaśniejszej zmarłych gwiazd koronie,
na brylantowym królujący tronie,
zastygły w bezruch, ŚWIĘTY I KAMIENNY,
wałuchany w Siebie, snem o Sobie senny, —
choć w koło światów toczą ogromy,
WIELKI, POSEPNY, ZIMNY, NIERUCHOMY?!
A wkóło was nieprzeliczone RZESZE,
rozparte w mierzwie wygód i rozkoszy,
co śmiechem drwin ścigają was, MOJŻESZE,
wiodący ludzkość z nocy i pustoszy
w KRAJ OBIECANY!... Cóż? choć pójda z wami,
nie SEN o — GWIAZDACH znęci je i zmami,
nie ORLA PIEŚŃ o dumie i swobodzie,
nie to spżizowe O MOCY OREDZIE,
jeno — kolenda o mleku i miodzie!!! —
I tak od wieków i po wieki — będzie!
Szpik waszych kości i karm waszej ally
zreć będzie POTWÓR LUDZKOŚCI otyły,
aż po was pamięć i imię zaginie
i nie zostanie NIC — po waszym CZYNIE!..

SMIERC:

A wiesz, Rycerzu, co to WIECZNOŚĆ znaczy?
Któż z was przemyślał wieczność aż do końca?
Któż objął duchem waszechprzestrzeń? Któż słońca
policzył wszystkie i tych gwiazd tulałczy
bezlik w wszechświecie? — WIECZNOŚĆ — to
dźwięk pusty,

Któremu DUCH wasz słodką wtórzy pieśnią
o złotych cudach, co się nie cielesnia...
Pacierz z snów waszych klepie CZAS bezusty...
Komu się święciasz i czemu? — gdy jedno
CZYN wasz i ŻYWOT: w nicości bezodna
próchnem walące się — TRUCHŁA!..

RYCERZ:

— Apage!

Apage strzygi wy! upiorne wily!
Próżno jad zwątpień wsączacie mi w żyły!
Nie pyta WIARA o poczyną wagę!
Działaj, kto musi! — Nad DUCHA KONIECZNOŚĆ
ni śmierć mocniejsza, ani sama wieczność!
Czy pyta SŁOŃCA majestat świetlany
o Mus, co mu nad światy wschodzić każe
i gorzeć Ogniem niezgasłym w bezmiarze —
i łać potopy światła, jak krew z rany
użyźniającą łono ziemi, aby
nie zginął zaród w niej żywototwórczy
po wieczny czas? — I cóż, że klą mu RABY,
a on, on sam się w sobie gnije i kureczy
i męką w żużel spala — GLOB WSPANIAŁY;
aż jego zewłok runie w grób — zetlały?!.
— Z chmurnych przestrzeni WICHER urodzony,
gdy własnych pędów szaleństwem urasta
w ŻYWIOLU MOC, co się nad wie i miasta
przewala groźny, burze i cyklony
pędzący przed się i noc i pioruny, —
przerażeń kłutwą pętający dusze,
siejący w kółko śmierć i krwawe łuny
zapalający w ogniów zawierusze
na stropie niebios, chmur zasłanych zwalem, —
żali ta MOC, rosnąca własnym szaleem,
pędu i wojny z martwością niesyta,
o Kres i Cele i Przyczyny pyta?!. —
ZIEMIA, gdy wiosną w zieleń się obleka
i nieznuzona wiecznym lat nawrotem
owoców bujną rodzi pełnię, złotem
zbóż się okrywa i duszę człowieka
wilgłym zapachem grud i słońca mocą
odradza tak, jak te kwiaty na łące,
co, choć jesienią wszystkie mrą więdnące,
skwitają wiosną znów i znów się złocą, —
i z macierzystej TAJNI SWEGO ŁONA
nieustające ŻYWOTA PRZĘDZIWO

snuje, jak głębia mórz nieogarniona
rodząca falę wiekuiście żywą, —
cóż, jeśli dzisiaj twórczą mocą plenna,
silna swą męką i bólem radosna,
kiedyś, gdy minie jej Żywota Wiosna,
zamknie swe łono, martwa i kamienna?..
Jak ZIEMIA, SŁOŃCE, WICHER — jest DUCH
CZŁOWIEKA!

DYABEL:

Otoś jest prorok fałszywy! Szaleństwo
pojmało język twój i zmyśli w jeństwo
i duszę twoją kłamstwa czar urzeka!
Otoś się upił mocnych słów blekotem,
więc szumi mowa twa, jak strumień skalny,
huczący w górach pustych ech loskotem,
i grzmi, jak dzwon, hymn kłamstwa tryumfalny!
— — — Pójdź za mną! Pójdź! powiodę cię na
szczyty,

na niedostępne TURNIE OBJAWIENIA,
skąd przed twem okiem będzie Los odkryty —
i ujrzysz świętą RZEKĘ, PRZEZNACZENIA!
— — — — —

Patrz tam! —

Przez noc i groby toczy się jej fala...
Wody jej płami ruda rdza, — i trąd pleśni
zżera pobrzące, — muł i błoto kala
łożysko dna jej, — gad się hydny w cieśni
wód czarnych łące i zatrucha jadem
kleszące bagna i trzęsawisk młaki, —
tchy oparzelisk unoszą się czadem
w górę, — u brzegów mrą upiorne drzewa,
jak uschłe trupy, wydzwignione z ziemi, —
wkrag korowodem snują się majaki
i ptaków nocy krakanie rozbrzmiewa...
Ponad tą RZEKĄ ludzki RÓD się plemi
i wielkie SŁOWO LOSÓW swoich iści...
Patrz!

Oto złowrogie przystanąły RZESZE
dzikie, złe, wściekle, — ogień nienawiści
gore w ich ślepiach, — Gniew pioruny krzesze
i pazur śpi ostrzy Szal — — Patrz! stoja
posępne grozą milczenia i zbroją
okrutną zbrojne, — — noże, glazy, koły
dzierzą ich ręce, drżące zabójstw żądzą, —
krwi głodem dysze ich pierś, — oczodoły
nabiegły krwią, — obłędne białka błędzą
rubinem krwi i bielą łyskające
wokolo — — — w Górze CZARNY PTAK
się waży,

ogromem skrzydeł zaciemniając słońce
i na ich twarze cień rzucając wraży,
co wraz w kamienną posowę zastęga...

Wtem pada hasło: zakrakał PTAK-STRZYGA
i krzykiem ostrym, jak dziur, przesywa
przestwór! — Zawrzała Rzeza niecierpliwa
i gromem przekleństw na równinie huczy,
jak chutna dzikość rozpasanej tuczy,
co, gdy głęb morską do dna rozkołbie,
i wstrząśnięciem ziemią pod gór fundamenty,
dzwonem piorunów dzwoniąc w nieb odmetry,
słońce i gwiazdy w czarną noc chmur grzebie...
Oto jak skał dźwignionych z posad ławy,
jak zwały wód, gdy je wicher podusza,
runęła na się rozjuszona TLUSZCZA
a za nią pędzą ŻADZA I MORD KRWAWY...
Już zwały się, już kłębią się, jak żmieje,
potworne cielska... W bratobójczej walce
brat kasa brata, krew zeń ciepłą pije,
zębem mu w pierś się wżarłszy... Ten w kawalcie
rwie ciało wroga i hymn zemsty wyje, —
ów nóż dźga w serce i nurzając palce
w jamę wnętrzości, jelita z niej szarpie
i twarz czerwoną pomazując smugą, —
a tamten bratu miazdzy łeb maczując
i mózg wyżera zeń, — jak wściekłe harpie...

W prawiekach WIELKI BÓJ ten rozpoczął
i — nieskończony — będzie trwał po wieki...
Z Dziejowych Pól krew spływa, — krwi ścieki
leją się w STRUMIEŃ LOSÓW — Patrz! już
wzdęty
krwią i trupami — bieg swój rozprzestrzenia,
dopływem czasów wzbiera, olbrzymieje
w niepowstrzymany PRĄD, sam sobą wzmagany,
aż w przepotężny nie wzrośnie HURAGAN,
co MORZEM ZBRODNI cały świat zaleje!!!
Taką jest święta RZĘKA PRZEZNACZENIA!

ŚMIERĆ:

Zagaśnie słońce, Burzy moc się złamie,
wyschnie rdzeń ziemi, znikną mórz odmetry...
Czem jesteś, Czeku? czym jest twoje ramie
i łuk twej woli nad światem ściągnięty?...

RYCERZ:

O jasna DUMO, mocy mej krynico!
O chrobra siło mojego BRZESZCZOTA!
O grzmiąca w duchu moim PIEŚNI złota!!
W bryzg się rozpryska jad wasz i na nico
waszych się słów rozbiła wszechcieństwo
o dumę moją, wiare, — człowieczeństwo!
Słuchajcie PIEŚNI, skute wy od Boga

na dno OTCHŁANI, kędy ślepa TRWOGA
jak pies, odwieczną klątwę swą w noc szczeka, —
jaśnią płomienną bite, co was wścieka!
Wam Słońce wróg i światły Dzień i Zorze, —
lecz ponad wszystkie ŚWIATŁOŚCI ŻYWIÓŁY,
rozlane w bezmiar ziemi i obłoków,
BLASK on, co ludzkie pełni oczodoły
i w ludzkim DUCHU błyskawicą gorze! — — —
— — — Waszym był ongi i arom waszych oków
dzwigał przedługo SYN ZIEMI, gdy z mroków
pod nieobjęte wyszedł Niebios stropy...
Plugawy LĘK szedł za nim krok w krok w stropy,
wyjąc po nocy skróś pustoszy świata...
ZŁY STRACH go w bory gnał i jaskiń wnęki...
Przed kim drżał CZŁOWIEK? skąd nań szła
ZATRATA?

Kto pletnią SZALU ściagał go i MĘKI?
że nagi, brzydki był, — jak zwierz, nikczemny,
z podłym zalekiem w ślepiach, zstygłych w szklivo,
z zjeżonym włosiem, z twarzą obelżywą, —
jak stwór wyklęty, bezalонецzny, ciemny, —
ON — ZIEMI SYN I PROMIENNEGO SŁOŃCA,
ON — w wszechobszarach świata DUCH

JEDYNY, —
MOC ŚWIĘTA, z tajnych przeznaczeń GŁĘBINY
światłanym szlakiem KU BOGU idąca?! —
— — — Wy-ście go szczuły szaleństwem przerażeń,
aby nie poczuł swej mocy — — — Z rozjarzeń
gwiazd i błyskawic, — z nocy cichych głosów, —
z huku piorunów, — z tajemnic niebiosów
i czasów ziemi —, wyście STRACH nań ślały,
Strach bezimienny, ślepy, oszalały
i POPŁOCH nagły, śmiertelny, niemocą
zamrażający w żyłach krew, — i w kamień
potworną grozą szkarad i omamień
odrętwiający członki OBŁĘD — — — Nocą,
gdy z SNÓW CZELUŚCI i MROKÓW PIECZARY
wychylał bladą twarz CIEŃ TRWOGI szary,
zrywał się CZŁOWIEK, jak zwierz ranny ciosem,
z posłania w norze i rozpaczny głos
wyjąc strach własny, któremu wicher śmiechem
i Pustka głuchem wtórowała echem, —
tłającą głównię pochwyciwszy w dlonie
mknął OPĘTANIEC w noc, na pola — błonie...

Aż powstał z wieków snu RAB TRWOGI —
CZŁOWIEK!

We słońce spojrzal — i nie zamknął powiek!
Niezlęktem okiem objął gwiazd mirjady,
w Noc wszedł głęboką, zstąpił w mórz bezodno,
w ziemi się łono, w praiłów pokłady
nieustraszone wdarł i w przenajświętsze
wglądał na koniec tajnie: DUCHA WNETRZE

I wszędy, wszędy ujrzał tylko JEDNO:
 jedną Moc żywą, co tętni w wszechotworze,
 szumi, grzmi, dźwięczy, płonie, skrzy i gorze, —
 ta sama wiecznie: MARZANNA I NIJA,
 stwarza i niszczy, rodzi i zabija, — — —
 a na bezkresnym Oceanie Świata
 ON — DUCH JEDYNY, świadomy sam sobie,
 uskrzydłający wolą glob, na globie
 ku jakimś SŁONCOM NIEZNANYM ulata,
 kędy ustaje wszelki błąd i małość,
 strach śmierci, złość i podłość niska,
 znamieniem czynu — boska DOSKONAŁOŚĆ
 i owa PIĘKNOŚĆ, co dziś li przeblyska,
 lecz tam rozelśni się, jak słońce wtóre,
 przeświełające duchową naturę
 złocistą jaśnią — — — NOC pierzchnie. DZIEŃ
 WIECZNY,

blękitem nieba i szczęścia słoneczny
 zapłonie w okół... To będzie RAJ DUCHA...
 Zapomni DUSZA, co grzech a co skrucza,
 jakie ma lico Ból i Rozpacz głucha,
 żebraczy Wstyd i zelżywa Sromota,
 w niespełnionych zamierzeń tęsknota,
 a co dokonał i snów jawa złota...

Lecz wprzód jeszcze walki wiek i trudów, —
 wprzód podrodzeń i śmierci ciąg długi, —
 i ofiar serca i miłości cudów, —
 i te, co krajają duszę, CIERPIEŃ PŁUGI,
 zanim z człowieka opadnie trok cielska
 i DUSZA w nim wyblśnie — ARCHANIELSKA!..
 Otom jest RYCERZ CZYNU I OFIARY! —
 Otom posłyszał DUCHA GŁOS, co woła! —
 Weselem wielkiem dusza ma wesoła! —
 Ufny, spokojny idę — w dal! — PRECZ MARY!!!

Tak rzecze Rycerz Śmiały
 Upiorom, co w drodze mu stały, —
 Tak oto w niezłomnej wierze
 słabych się pokus strzeże
 i Mieczem Dumy i Mocy
 przepląsza Widma Nocy, —
 Tak kląć piekielne Majaki
 ducha bożemi znaki,
 świętami znaczon znamiony
 w świat rusza — NIEUSTRASZONY!



Z cyklu: CZERWONE ŚWIATŁO OGNISKA.

ROZNIEĆ OGNISKO, TOWARZYSZU!

Gwiazda wieczorna zamigotała wśród gałęzi drzewnej.

Roznieć ognisko!

Zwlekasz i patrzysz na zachód?...

To ostatnie konającego dnia westchnienie...

Nie potrwa długo.

Prawda: jeszcze snuje się hen nisko na niebozłknie gorąca smuga krwi — czołgająca się wśród czarnych pni sosnowych rzeka ognia — jeszcze dysze żarem, niepowstrzymana w rozpędzie, potęgą ubiegłego słońca, która błyskoce i majaczy i jeszcze polanę, las i rzekę umaja i szatę purpurową kładzie na omszały pień sosny, jej skrzydło gałęźne, na krzew leszczyny.

Prawda, jeszcze dzień nie poszedł...

Narzuć igliwa, towarzyszu! Dmuchnij potężnie, hej, ile płuc ci starczy! — Hej, strzelił ogień!

Szybko paliwa, zanim pierwszy płomień upadnie! — Nie upadł? Spisałeś się, towarzyszu! Zajęły się grube kłody. Już powstają nowe płomienie, już łączą się z pierwszym!

Patrz, towarzyszu, już kipi ognisko większe aniżeli ty sam!

O cudzie! O dziwny obrazie!

Patrz, towarzyszu! Kędy mroki pełzały leniwe, teraz światło skrzeseło nowe światy.

Oto pień sosnowy odkrył swoją ranę niezagojoną, gdzie nieczule ręce gałęzi odcięły.

Oto wewnątrz skrzydła gałęźnego zapłonilo nagle orgią rozpasanych barw.

Oto krzew leszczyny, już śpiący w mrokach, zbudził się w sieci tysiąca nowych liści, a każdy liść, zda się, rozbłyaszczony jak w bajce.

Ożyły nagle martwa trawy, liście dotychczas widziane przepadły w cieniu, inne wyprysły na ich miejsce, kwiat dziewanny strzelił w górę, wysunęła się naprzód ruchem zuchwałym gałąź leszczyny, płacąc zuchwałość śmiercią w płomieniach...

Zaiste, dziwnych cudów dokonał ogień!

A teraz, towarzyszu, siądźmy przy ognisku, niechaj i na nas poświeci!

Odrzekł towarzysz:

— Siądźmy. Zgotuję zaraz wodę do herbaty.

ARKADY FIEDLER.



U POETÓW.

KAROL SPITTELLER.

KRÓL POŁUDNIA I KSIAŻĘ DZWONÓW.

Olbrzymi obłąk wrót swych rozwarł bór na ścież.
Na ńrebcu jak śnieg, Południa Król mknie z leśnych leż.
Na jego widok stęgl zwyciężki słońca tór,
Góry prostują się, powstaje drzewo chmur,
Oddając z nieba hołd proporcem barw niebieskich.

Lecz z katedralnych wież, czatowni czat królewskich,
Wysyła Dzwonów Książę dźwięków oceany,
Kobierzec dla stóp władcy kornie rozspiewany.
Południe słońcy oczy, wzniośszy dłoń ku brwiom,
I konia w napowietrzny zwraca wieżyc dom.
Cóż mu mostem? Burzliwa, ciżbna wrzawa brzmień.
W górze, zdyszany, parny, milcząc czeka dzień.

Słysz! rzeń radosnych wicher. Tam, gdzie blankowanie,
Odbywa się dwóch władców, bratni w czuć wymianie,
Obrządek powitalny. Potem najstromszemi
Gzymsami w krąg mkną konno, przegląd czyniąc ziemi.
W poryku dzwonnych burz, w sztandarnych wicherze szmat,
Majestat ich uszlachca dni roboczych świat.

KRONOS I STARZEC.

O ciemnej nocy, chmur stromemi skręty,
Spętany, jako pęta się złoczyńce,
Opuszczał Kronos, wygnaniec zawzięty,
Złotego niebios królestwa gościeńce,
Aby gród bogów wśród jaśni błękitu
Na płacz pomieniać mrocznych fał Kocytu.

Wóz poprzedzało dwóch niemych siepaczy,
Za nim dwaj inni biegli w tylnej warcie.
Ich ucho pytań trwożliwych nie baczy,
Ich zwarte wargi milczą: „nie!” uparcie.
A że niedola musi być i lżoną,
Więc go szychową shańbiono koroną.

Gdy się pod ranek znaleźli na ziemi
I, aby wytchnąć, stanęli nad zdrojem,
Zbliżył się drogą, krokami chwiejnemi,
Starzec, złamany lat przeżytych znojem.
Patrzył posępnie, jak ktoś, kogo znękał
Los, — stawał często, i wzdychał, i stękał.

„Witaj mi, cierpień towarzyszu miły!”
Westchnął ku niemu bóg wydziedziczony,
„Gdyś władzę stracił, albo młodość, siły,
Precz idź, bo szyd cię z każdej spotka strony.
Cóż! pokutować trza za istność biedną.
Mów! na życzenie pozwalam ci jedno.”

Niechętnie starzec podniósł brwi zjeżone,
Coś mrucząc usty bezzębnemi twardo.
Potem, nie patrząc, włócił się w swoją stronę,
A gdy ich mijał, dał odpowiedź hardą;
„Ktokośkolwiek jesteś, schowaj dary swoje;
Gdy kto nie spragnion, cóż mu chłodne zdroje?

„Chcesz uszczęśliwić, darzyć, błogostawić?
Pytaj młodzieńca, co wre pożądaniem,
Pytaj dziecińcy, co wnet chce się bawić
Rzeczą świecącą pstrzem umalowaniem.
Jam pożył wszego, co ten świat nasz mieści,
Miara ma pełna, zwał się krąg mej treści.

Gdyby cud stał się, gdyby z nieb urody
Zasiał ojciec Kronos i dać mi znać raczył
Drabiny przodków i pokoleń schody
W rodzie, co mojem imieniem się znaczył,
Szacowniejszy to sercu memu dar by
Był, niż chleb, złoto i wsze ziemi skarby."

Na swe spętane, cierpiętliwe ręce
Spoglądał więzień w zadumie milczącej.
Potem powieki zwarł, jak twórczej męce,
Głos dobył z piersi i jął, śpiewający,
Przed osłupiałym rozwijać słuchaczem
Baśń dni minionych, słodkim tchnącą płaczem.

Wstecz myślowego natężając kroku,
Wszystko, co pamięć straciła nieznacznie,
Lub co ludzkiemu uszło mdłemu oku,
Z pomroki czasów dożywał opatrnie,
O rodzicielach śpiewał mu, o krewnych,
Rzeczy nieznane wiążąc z nicią pewnych.

Żadnej nie brakło twarzy, ni imienia,
Łańcuch miłości wszystkie miał ogniwa.
Zdało się, przyjaźń, co rzekł, przepromienia,
A co wymienił, jak pieśń brzmiało życia.
Czy rzecz przeżył kreslił, czy nieznaną,
Rodzimość, swojskość zewsząd odczuwano.

I zapomniana była nędza chwili;
Starzec na skrzydłach kołysał się duchów;
Słuchając, usta w dziwie otworzyli
Stróże leżący pośród ziela puchów;
Zdrój przął cichutko taktu pajęczyny,
Zmierchł ścichał, stanęły zdumione godziny.

Wtem krzyk koguta buchnął, budząc słońce,
W zórz różaności błysły dnia promienie.
Siepacze, z grozą, strzęśli sny mamiące,
I znów im wszystkim ukaz i zlecenie.
Wrzawa — wymysły — kłótnie — brzmiały rozkazy
„Ruszaj!” — Ruszyli. Batów trzaski, razy.

Jakiż czar — patrzcie — odmłodził starego?
Grzbiet się prostuje, oczy lśnią obłędem.
By wstrzymać konie, co żwawe już biegą,
Dysząc, w ślad ich się wściekłym rzuca pędem.
Oto już w równi z kołami kusztika,
Szprych się uczeplił, jęczy skarga dzika:

„Jedno, ostatnie zwólcie słówko jeszcze!
Stójcie! Słuchajcież! Pozwolenia! Łaski!”
Gwizd bicia, wozu turkoty złowieszcze,
Zwalił się starzec, w drożne strącon piaski.
Dalej i dalej dzwoniły kopyta.
Skarga-błagalna skonała rozbita.

MIRIAM.





KSIEŻYC PRZYBIERAJĄCY.

RABINDRANATH TAGORE.
Z ANIOŁSKIEGO PRZEKŁADU AUTORA SPOLSKICZYŁ
JAN KASPROWICZ.

POWOŁANIE.



Gdy gong wybije z rana dziesiątą, a ja naszą uliczką idę do szkoły, spotykam codziennie przekupnia, krzyczącego: „kółka, kryształowe kółka!”

Nic go nie nagli, iżby się spieszył, niema drogi, którą musiałby iść, niema miejscowości, do której musiałby się kierować, niema pory, o którejby musiał wracać do domu.

Chciałbym być przekupniem i spędzać dzień cały na ulicy, krzyczący: „kółka! kryształowe kółka!”

Gdy o czwartej po południu wracam ze szkoły,
Widuję poprzez bramę tamtego ot! domu, jak ogrodnik przekopuje ziemię.

Robi swym rydlem co mu się widzi, odzienie wala pyłem, nikt nie strofuje go za to, że piecze się w słońcu, lub moknie na deszczu.

Chciałbym być ogrodnikiem, i kopać i kopać w ogrodzie i nikt nie wstrzymałby mnie od tego kopania.

Gdy pociemnieje wieczorem i matka każe mi kłaść się do łóżka,
Widuję przez okno otwarte, jak stróż nocny przechadza się tam i z powrotem.

Ulica ciemna i samotna, a latarnia stoi jak olbrzym z jednym okiem czerwonym w głowie.

Stróż potrząsa latarką i kroczy z swym cieniem u boku i ani razu w życiu nie kładzie się do łóżka spać.

Chciałbym nocnym być stróżem, co noc przechadzać się ulicą i cienie płoszyć latarką.

PONAD WSZYSTKIEM.

Matko, twoja córeczka jest głupia. Jest tak okropnie dziecinna.

Nie rozumie różnicy pomiędzy światłami na ulicy, a gwiazdami,

Gdy się bawimy w jedzenie kamyków, to myśli, że można jeść je na prawdę i próbuje kłaść je do ust.

Gdy książkę przed nią otworzę i każę jej się uczyć abecadła, ona rękami drze kartki i ryczy z radości nad niczem; w taki to sposób córka twoja odrabia swe lekcje.

Gdy w gniewie trzęsę na nią głową i łaję ją i mówię, że jest nicpotem, ona śmieje się i myśli, że to wielki jest żart.

Każdy wie, że niema tu ojca, ale gdy ją podczas zabawy głośno zawołam „Ojciec!“, ona niespokojnie rozgląda się naokoło i myśli, że ojciec jest blisko.

Gdy szkołę urządzam z osłami, z którymi praczą nasz przychodzi, ażeby zabrać bieliznę, i grożę jej, że ja tu jestem nauczycielem, ona drze się bez powodu i nazywa mnie dada¹⁾.

Córka twa chce złapać księżyc. Jest taka pocieszna, mówi Ganush miast Ganesh²⁾.

Matko, twoja córeczka jest głupia, jest tak okronie dziecinna.

MAŁY DUŻY CZŁOWIEK.

Jestem mały, bo małym jestem dzieckiem. Stanę się duży, gdy będę miał tyle lat co ojciec.

Przyjdzie mój nauczyciel i powie: „Jest późno, przynieś tabliczkę i książki.“

Ja mu odrzeknę: „Czy nie wiesz, że jestem tak duży, jak ojciec? Nie będę już żadnej miał lekcji.“

Nauczyciel mój zdziwi się i powie: „Może książki zostawić, jak chce, boć przecie jest już dorosły.“

Sam się ubiorę i pójdę na jarmark, gdzie jest najgęstszy tłum ludzi. Stryj mój przypadnie do mnie i rzeknie: „Zgubisz się, chłopcze! Ja wezmę cię na ręce.“

Ja mu odpowiem: „Czy też nie widzisz, stryjasku, że jestem tak duży, jak ojciec? Muszę sam iść na jarmark.“

Stryj powie: „Tak, iść może, gdzie zechce, jest już dorosły.“

Matka powróci z kąpieli, gdy będę pieniądze dawał piastunce, boć przecie już wiem, jak kluczem otworzyć szkatułkę.

Matka mi powie: „Cóż ty robisz, nicponiu?“

Ja rzeknę: „Matko, czy nie wiesz, że jestem tak duży, jak ojciec, muszę dać srebro piastunce.“

Matka zaś powie do siebie: „Może dawać pieniądze, komu li zechce, boć przecie jest już dorosły.“

W czasie świąt w październiku ojciec powróci do domu i myśląc, że wciąż jestem dzieckiem, przyniesie mi z miasta buciki i mały kabacik jedwabny.

¹⁾ Brat starszy.

²⁾ Ganesh powszechnie imię w Indjach, a także bóstwo z głową słonią.

Ja mu zaś powiem: „Daj-że to memu dadzie, ja jestem tak duży, jak ty.“

Ojciec pomyśli i powie: „Może sobie sam kupić kabat, gdy zechce, boć przecie jest już dorosły.“

GODZINA DWUNASTA.

Matusiu, dam teraz spokój lekcjom. Siedziałem nad książką całe rano.

Mówisz, że dopiero jest dwunasta. Przypuściwszy, że nie jest później, czy nie możesz sobie nigdy pomyśleć, że jest po południu, chociaż jest tylko dwunasta?

Ja mogę sobie łatwo wyobrazić teraz, że słońce dosięgło skraju tego pola ryżowego i że stara rybaczka zbiera sobie zioła na wieczrę — tam na brzegu stawu.

Mogę silnie zamknąć oczy i myśleć, że cienie pociemniały pod drzewem *madar*¹⁾ i że woda w stawie błyszczy się na czarno.

Jeżeli dwunasta może przyjść w nocy, dla czego nie może przyjść noc, gdy jest dwunasta?

PISANIE.

Mówią, że ojciec pisze masę książek, ^{*} ale co pisze, tego nie rozumiem.

Czytał ci cały wieczór, ale czy ty naprawdę wiesz, co miał na myśli?

Co za piękne bajki możesz nam opowiadać, matusiu! Dziwię się, dla czego ojciec tak pisać nie umie.

Czyż od swej matki nie słyszał nigdy opowieści o olbrzymach, krasnoludkach i królewnach?

Czy on to wszystko zapomniał?

Nieraz, kiedy się spóźnia do kąpeli, ty musisz iść i wołać go po sto razy.

Czekasz i grzejesz mu jedzenie, ale on pisze dalej i zapomina. Ojciec bawi się ciągle w pisanie książek.

Ile razy idę bawić się w izbie ojca, ty przychodzisz i krzyczysz na mnie: „Co za niedobry dzieciak!“

Jeżeli choć najmniejszy robię hałas, powiadasz: „Nie widzisz, że ojciec przy pracy?“

Cóż to za żarty z tem ciągłym pisanem i pisanem?

¹⁾ Madar, gatunek drzewa koralowego (erykrina india, używany za podpórę plantacji pieprzowych, a dla cieni w plantacjach kawowych.

Jeśli ja wezmę pióro lub ołówek ojca i piszę w jego książce, tak samo jak on, a,b,c,d,e,f,g,h,i — dla czego wtedy złościsz się na mnie, matusiu?

Nie mówią nigdy ani słowa, gdy ojciec pisze.

Jeżeli ojciec marnuje takie kupy papieru, matusiu, to, zdaje się, wcale cię nie martwi.

Ale gdy ja wezmę jeden choć arkusz, aby zrobić sobie łódkę, powiadasz: „Dziecko, jak ty dokuczysz!”

Cóż ty sobie myślisz o arkuszach ojca i że ojciec arkusze te pauje czarnymi znakami po jednej i drugiej stronie?

NIEDOBRY LISTOWY.

Dla czego siedzisz na podłodze taka milcząca i cicha, powiedz mi, droga matusiu?

Deszcz pada przez okno otwarte, cała jesteś mokra, a ty wcale tego nie widzisz.

Słyszysz, że gong bije czwartą? Czas dla brata, by wrócił ze szkoły.

Cóż ci się stało, że patrzysz tak dziwnie?

Czy nie otrzymałaś dziś listu od ojca?

Widziałem, jak listowy przyniósł listy w swej torbie prawie dla każdego w mieście.

Tylko listy ojca zatrzymuje, aby sam je przeczytał. Jestem pewien, że ten listowy złym jest człowiekiem.

Ale nie bądź dla tego nieszczęśliwą, droga matusiu.

Jutro jest dzień targowy w wiosce sąsiedniej. Powiesz służącej, aby kupiła piór i papieru.

Ja sam będę pisał listy ojcowe. Nie znajdziesz ani jednego błędu.

Pisać będę z rozmachem — od a do k.

Ale, matusiu, dla czego się uśmiechasz?

Jakto, nie wierzysz, że umiem pisać tak samo ładnie, jak ojciec?

Starannie poliniuję papier i wszystko pisać będę pięknymi dużymi literami.

Gdy skończę pisanie, czy myślisz, że będę tak niemądry, jak ojciec, by rzucać je do torby wstrętnego pocztarza?

Sam ci je przyniosę, nie czekając i list za listem pomagać ci będę w czytaniu mego pisma.

Wiem, że listowy nie chętnie by ci oddał listy, tak naprawdę pięknie pisane.

(C. D. N.)

ALEKSANDER OLKIEWICZ.

Z N A J D A.

(DK.)

Zaś z drugiej strony dół nęcił:

— Ukradniesz nie ukradniesz — i tak powiedzą na ciebie!... — filozofował Dązał, który Frankowi nie poskąpił kąta. — Jo tyż, brachu, złodziejem matce z brzucha nie wyłożył... Nie — nie!... Raz z głodu żem z j u g n ą ł do ula wsadzili — to potem już z całej pary na l e t k i chleb'em się puścił!... A wszystko winne — ludzie — choroba!... Żeby się na człowieka jak na złodzieja nie patrzeli, to by i nie ukradł... A tak — było nie było raz m a t y r o d y ł a l... —

Frankowi ta filozofia przypadła do gustu.

Po latach, po wielu — lat sobie już liczył piętnaście Niedziela za jakąś złodziejską sądzili go sprawę — po chłopsku — po swojemu...

Wójt mówił — dać baty, ktoś inny — do kozy, a Franek stał tylko i słuchał...

— Wsio równo!...

Baty — to baty, koza — to koza, wiadomo — zawinął!...

Aż tu naraz Filipek w Franka stanął obronie:

— I baty i koza — tu na nie!... Jo go bierę do siebie... — ruszyło Filipka sumienie.

— Złodzieja!?... powstało oburzenie.

— Moja w tem rzecz — nie waszał!... krótko wężłowato i do Franka podszedł:

— Kcesz do mnie Franek na służbę?...

Frankowi łzy w oczach zdumione stanęły — w gardle coś dławi okropnie, że ani rusz słowa powiedzieć. Nagle krzyk straszny niby brzytwy ostrze, przeszył zebranych, aż wzdrygnął się jeden i drugi... I zaraz — łzy się rześiste puściły Frankowi...

Jak dawniej — z góry na pazury — letko się na dół staczało, tak teraz — pod górę — ciężko strasznie było...

Ale sił Franek nie skąpił...

Krótko — króciutko w cugle się ujął i — stój braci!...

Do życia nowego rąco się przykładal — ani byś poznał w nim, czeku, złodzieja, a jeszcze trudniej dawnego Znajdę...

Ponure spojrzenie — goryczą sycone — szpeciło twarz Franka pogodną...

Że to bali go się teraz ludzie — trzymali krótko pyski, bo mało wiele do oczu skakał z pięściami... Czuł zawsze na sobie trapiące spojrzenia — gdzieby nie poszedł, nie stanął... Każdy krok jego i każde mruknięcie — pilnie w pamięci sobie karbowali ludzie...

Zwłaszcza — w początkach...

Zamykał na to wszystko oczy — piekącą pamięć krzywdy gasił — żądę odwetu na wszystkich — na wszystkich za — wszystko — za wszystko ...jak mógł, tak tłumił i — dźwigał się za krokiem krok wyżej... Złodziejskie nawyczki — l e t k i e zachcenia na miejscu katrupił... Ani na jotę — sobie nie popuścił...

Pomału się dźwigał pod górę, aż doszedł...

Poczuł się dawnym, żadnem złodziejstwem nie zbrukany Frankiem...

Do ludzi tylko nie mógł już przylgnąć, jak dawniej, choć bardzo niektórzy widzieli go radzi...

Miedzy ludźmi a Frankiem — stanęła murem nieprzebytym doznana krzywda... Niektóre cegielki już do cna zwietrzały — jak Wawrzon — Dąbkowa — dwa złote... Lecz wyrwać ich z muru nie było można — na kamień, na krzemień stwardniało spoidło...

Trudno się mówi i — kwita!...

Calego zaś muru — ani próbował kruszyć Franek.

...O co im poszło — nie wiada...

Kupa ludzi ciekawych w opłotki się zbiegła...

Za późno — po wszystkim prawie już było...

Tylko tyle widzieli, że Kubiok Frankowi wygrażał kłonicą — a Franek mu znowu widłami...

— Idź lepi Filipkowi pieniądze ukradni — ty, złodziejskie nasienie — ugodziło na ostatku Franka do bólu.

Porwał się raptem jakby chciał płot przesadzić i — do Kubioka!...

— Czekej, cholero, już ty mnie popamintosz!... — pogroził tamtemu i odszedł sobie.

— Słyszeliśta — odgroził się!...

— Co mu ta zrobił?...

— Z takim zaczynać — ho! ho!...

— Kundmanów naprawdzi, abo z dymem puścił Zawrzało, jak w ulu w gromadzie.

— Dobrze by mu zrobił...
— Po co z chłopkiem zaczynol...
— Od złodziei wyzywo!... ujął się ktoś
jeszcze za Frankiem.
— Od złodziei wyzywo — a nie ukrodił to —!?...
natarł ktoś szydliwie.
— Różnie ludzie godają!... — wymijająco za-
brzmiała odpowiedź.

— — — — —
...Idź lepi Filipkowi pieniądze ukradni — ty
złodziejskie nasienie!...

Ukradnij... Ukradnij...

Złodziejskie nasienie!...

Jedna myśl przepowiada, a druga podjudza
i gwałtownie prze do czegoś, że ino chwycić klonicę
i — bić!... i — bić! ...kto popadnie...

Za wszystko!...

Strasza mściwość buchnęła warem — oczy
krwią zasnęła — wszystkie krzywdy na jaśn wywlekła —
wszystkie co do jednej...

Nieokiełznana żąda odwetu — piersi, zda się,
rozsadzi...

Bić!... Gryźć!... Palić!... Mordować!...

Kogol?...

Zamglone twarze nieznanym rodziców — zgietą
postać Dąbkowej ciotki — Wawrzona ślepia klujące —
Filipek — Kubiok — i wiele, wiele innych osób miga
przed oczyma w coraz zawrotniejszym pędzie... Cała
prawie miścina... Każdy mu coś zrobił złego...

Wszyscy — zdumienie wzbiera — a on — sam.
...Sam jeden!...

Oni tam — on tu, a w środku murl...

— Złodziejskie nasienie!... — natrzęsa się i na-
igrawa przekorna myśl, że Franek aż dygocze cały,
jak drzewo wichrem szarpane...

Raz w tę — drugi raz w tamtą stronę...

Idź.. — ukradnij pieniądze...

Jakby go kto po łbie walił — raz!.. raz!.. raz!..

Boli — strasznie boli...

Niby żelazny grot ugodził w niego słowa —
i — pieką... i — krwawią...

— — — — —
...W kącie zacisznym — między stogiem a ścianą
stodoły — wre w najlepsze zabawa...

— Kto bydzie matką?... — wyłoniło się w toku
wielkiej wagi pytanie, przez najstarszą Stachę Ku-
bioczki podjętą.

— Jol!... — podskoczyła Józka z gotowością.

— Jol!... — wyrwał się Franek.

— Patrzta go — chłopok i chce być matką!?... —

— A mosz dytki?... — przypadła do niego któraś.

— A ty mosz, szczydnioku?... — odparł urażony.

— Dziewucha i tak może być matką!... — spie-
szyła z pomocą Maniucha, zażegnując burzę, jaka-
by się niechybnie na tle zaszłego rozegrała nieporozu-
mienia. — Niech Józka bydzie matką a ty ojcem... —
zgoda?... —

— Zgoda!... — kiwnął głową Franek i z punktu
wszedł w swoją rolę.

— Starol!... — zwrócił się z wielce pocieszną
miną do Józki — co ta masz na obiad?... Psia krew...
Cholera... Piorun... — wyrecytował nagle monotennie
dla większej powagi straszne przekleństwa i śledził,
jake robi wrażenie.

— Jak tata, czy nie — jak tata —!?... —

Na to Józka — robiąc mamę — brzuch wypu-
czyła naprzód — wydeła policzki i:

— Boga byś nie obroził, pijanico!... Potrze-
go — uchłol się i mi tu przeklinać bendziel!...

Franek w lot pojął sytuację — zatoczył się, że
to niby uchłol się bydlok, jak na tatę woła mama —
pięść podniósł, żeby huknąć w stół... Nawinęły mu
się akurat czyjeś plecy pod rękę — jak nie walnie!

— O jeju!... — zawołała Stacha, której przy-
padkiem rola stołu wypadła. — O jeju — jak me boli!... —
zaczęła wrzeszczeć i — w płacz.

Frankowi do oczu skoczyła Józka:

— Będiesz mi tu jeszcze dzieci bił, pijanico
jednal?... —

Jak go nie chlaśnie w pysk...

Frankowi aż świeczki w oczach stanęły. Błyska-
wicznie skontrolował, czy takie zakończenie miewały
zwykle sprzeczki między pijanym tatą a trzeźwą mamą.
Okazało się — że nie!... że nigdy!...

Zawsze tata mamę — buch w pysk!...

Momentalnie otrzeźwia! i wyszedł z roli:

— Ty szczydnioku, po coś mie wycięła?... — napa-
rł groźnie na Józkę.

— To tak nanomyśnie!... — odparła, pewna swego.

— Nanomyśnie... nanomyśnie a me boli... mosz
za moje, szczydnioku!... mosz za mojej!... — Oddał
skonsternowanej Józce po pysku i — w nogi!..., by
dalszych następstw uniknąć.

Józka już — już płaczem miała wybuchnąć i puścić
się za wiarołomcą w pogoń...

Wstrzymała ją drugie:

— Nie guń go, Józka!...

— Jutro go złapiesz — to mu oddosz!...

— Lepi się bawmy w gotowanie...

— A mosz zopolki?... — ze łzami w głosie
spytała Józka.

— Bogać ta nie!...

Poszło gotowanie...

Jedna zbierała kłosa, niby to drewka... druga —
kamyszki, niby to kartofle... inna obficie pluła na dłoń,
niby to wodę czerpała do gotowania...

Józka wzięła się do palenia na kominku...

Nasprzępiła słomy ze stoga — włożyła kupkę — potarła zapalną — by ją natychmiast zgasić, że to niby już podpalone — tymczasem od płomienia zapalnik zajęła się słoma na prawdę...

W jednej chwili — wystrzelił kłęb płomienia...

Zobaczył to, wracający koło Kubioka stodoły z pola, Niedziela Franek. Nim dziewczuchy podniosły wrzask — skoczył, by stłumić ogień...

Nie zdążył...

Stóg w okamgnieniu stanął w ogniu — wiatr grzywę płomienistą zwał na dach stodoły.

— Gora!... Gora!... — krzyknął Franek i puścił się za uciekającymi dziewczuchami, aby jedną z nich przytrzymać...

Nadbiegający na pomoc ludzie — widzieli uciekającego od ognia Franka.

W kajdany Franka okuli i — do sądu, do gminnego — na sprawę.

Słyszeli — jak Kubiokowi groził...

Widzieli — jak od stodoły uciekał...

— Co tu dużo mówić: proste jak obręcz!...

Żelazna logika faktów — wskazuje Franka.

Nie może być żadnych wątpliwości — to też pro forma jedynie zadaje mu sędzia pytanie:

— Odgrażałeś się Kubiokowi?...

— Odgrożołem!...

— Uciekałeś od stodoły?...

— Uciekołem — dziewczuchy gonilem...

— Tyś podpalił?...

— Niel!... — dziecioki...

— Widzisz go — na dziecioki zganił?... — odezwał się ktoś szydlwie — zjadliwie.

— Przyznaj się — zmniejszysz sobie karę!... -- na legal sąd.

— Nie pod—po—li—łem!...

Teraz świadkowie wystąpili — zgodnie poparli oskarżenie... Widzieli, jak leciał, jak się odgroził — słyszeli... Więcej — nie potrzeba...

Krótko — węzłowato... jasne — jak na dłoni i — wyrok: — Trzy lata kreminalu...

Bezmiernym ciężarem zwałił się na barki Frankowe wyrok...

Czuł jak go coś z nieprzewartą siłą spycha w przepaść...

Oderwał oczy od zielonego sukna sędziowskiego stołu — powiódł bacznie po zebranych. —

Kłut wzrokiem... siekl i dźgał — kogo popadło. — Siaki — taki westchnął — łza mu się w oczach zakręciła...

— Szkoda chłopaka...

— Szkoda, ale musi być sprawiedliwie!

Po latach, po trzech wypuścili Franka. Że to kreminal — w dużym mieście — o... kradzionym w rodzinne wracał strony chlebie. Wiodła go przemożna chęć ujrzenia rodzonych kątów, a poganiała, smagając do krwi, straszna żądza odwetu — w ciągu długich miesięcy więziennych rozpalająca mu duszę do białości — bezgraniczna krwawa mściwość — na zimno i trzeźwo pomyślana... Nocą już — do pobytowca. Dążyły, po znajomości wprost zaszedł — po radę a pomoc... Lecz stary poniechał już złodziejskich praktyk... Powaliło go na wyrko jakieś choróbko, że ani rusz...

Wiadomo — kradzione nie tuczy...

Powiedział mu Franek — co i jak myśli...

Odradzał mu gorąco — nie to, żeby nie tego, ale — nie zaraz!... Złapią — bo gdzie się schowa?... Do bandy-by mu przystać, a potem...

Niel!... Niel!... — przód zemści się, a później do bandy — schowa się...

Upał się Franek przy swoim...

— To idź...

— Ostońcie z Bogiem, Dążala!...

Po północy już — złapie wszystkich na śpiku. Nie uratują nic — a somsiaki pełne, bo to po żniwach... Skradał się chyłkiem — opłotkami i ścionkami... Wszystkie stącej swej dziecięcej obszedł Kalwari. Koło chałupy Dąbkowej przystanął — do Filipka zaszedł — koło Kubioka skreślił...

Rzuciły się ławą krwawe wspomnienia i pożoga szalu objęły umysł. Aż się musiał wstrzymywać...

Na miejskich nieużytkach — tak zwanych w tamecznych stronach osinach — dwoma rzędami, jedna przy drugiej, stogami obstawione, ciągnęły się stodoły. Bez namysłu, ulegając ślepo wewnętrznemu parciu, do jednej z nich — po środku stojącej — podszedł i ogień podłożył...

Jednej chwili zajęła się słoma...

Na widok w fantastycznych skrzętach wykwitających płomieni — ulgę poczuł niejaka, jakby mu część brzemienia z barek spadło...

Nie spiesząc się — obojętny na wszystko — do stojących o kilkaset kroków zabudowań Kubiokowych podszedł, przycisnął się...

Ruchoma, niby wichurą zmacona wód powierzchnia, przelewać się zaczęła — rozchwiej płomieni — z jednej stodoły na drugą, oślepiającą luną strzelającą w niebo...

— Gore!... — rozstąpiło się po mieście i w głuchym bicu dzwonów na alarm zginęło...

U Kubioka w chałupie wszczął się tumult i wietes... Słyszał to Franek dobrze. Pewnej chwili — niby ostrze szyletu — przeszył go krzyk Kubioka...

Zadygotał całą swą sponiewieraną istotą...

Automatycznie przygotował się do skoku — lon żelaza kurczowo w pięść zacisnął — drapieżczym rzutem podał przed się ramię...

Z nabiegłemi krwią oczyma — z wynędziałą twarzą — w bijącej szeroko łunie pożaru — wyglądał niby straszny upiór...

Jakieś kroki zbliżają się...

Przeczaił się do skoku — napiął się w sobie, niby ciężwa łuku, wyprężył...

Tuż — tuż przeszywający głos Kubioka...

Jednym drapieżnym skokiem spadł Franek na niego i — ze wszystkich, wszyściutkich sił — lonem w lebi... w brzuch!... w szyję!... — gdzie popadło...

— Ratujcie, kto w Boga wierzy, ratujcie!... — na tle ogłuszającej wrzawy rozległo się wołanie Kubioka o pomoc.

— Na śmierć zakatrupię!... — błyskawica myśli przeszła Franka.

W dzikim zapamiętaniu — bił i walił... — bił i walił — gdzie popadło!...

Mały — duży wszyscy ino mówią o tem w całej mieścinie.

— Powidzta ludziel...

— Ktoby się tego spodzioł!...

— Mościćewy!?... —

— A co z Kubiokim — ?..

— Ledwo pono zipie...

— A z unym, co?...

— Zbiły go chłopcy i — w kajdany!...

— Widziałam — jak wieźli go podwodą do powiatu...

...Prokurator się waha — akta sprawy ponownie przegląda...

Czy kary śmierci ma żądać, czy też ciężkich robót?

Podpalenie — mord z premedytacją — motyw zbrodni: zemsta...

Okoliczności łagodzących — żadnych, ale to absolutnie — żadnych!...

Chyba... — —

Tak — to wiele tłumaczy, ale kodeks karny — przechodzi nad tem do porządku dziennego... Cóż to sąd może obchodzić — Znajda...

Nie miał rodziców — od małości w obcym środowisku — a życie — kiepskim bywa peda-

gogiem... To wiele tłumaczy — tak!... Ale -- winno tu społeczeństwo...!

Tylko — onol... Człowiek jest wypadkową wpływów otoczenia... Zbrodniarzem nikt się jeszcze nie urodził — zbrodniarzem się staje... Kto wie — kim mógłby być oskarżony!?... Następstwem niesłubnych stosunków — podrzutek...

Czyja w tem wina — na kogo spada odpowiedzialność — !?..

Przedewszystkiem na tych, którzy nie mają odwagi ponosić następstw swych czynów... Człowiek jest maleńkiem ogniwem w łańcuchu, któremu społeczność na imię... Zawinił — człowiek, ciężar spada na społeczność... Bowiem nie masz tak bystrego oka, któreby z całą pewnością dojrzeć mogło — gdzie się kończy człowiek, a zaczyna — społeczność...

Tysiąc i jedna nieustannych nici — łączy ogniwo z łańcuchem...

W tem jego — spoistość, moc i siła, i w tem też — źródło wspólnej odpowiedzialności...

...Nie mają odwagi ponosić nieublaganych konsekwencji swych czynów... — bluznęła jadem myśli i zmąciła prokuratorowi tok górnych rozmyślań.

Miał wrażenie — jakby mu publicznie wymierzono policzek... Choć przymknął oczy — jak żywy stanął mu przed oczyma natarczywy, aż do wściekłości, obraz...

...Cicha zatęchła, mięscina — Brojowo — od szerokiego światła szczytnie deskami zabita... Pierwsze kroki na adwokackiej niwie... Lat temu będzie — dwadzieścia... — Albo więcej — dobrze nie pamięta... Kawalerskiego stanu nudę — osładzała — gospodyni...

Jak rzepa — baba... Jedna — pełna — gorąca... No!... nie tylko grzechu warta... Po kilku miesiącach — nagle musiał wyjechać z Brojewa... Przez wzgląd na t. zw. błogosławiony stan gospodyni — kilkaset rubli na otarcie łez jej zostawił i — gorące, zachętlive: napisz mi aby zaraz — chłopak czy dziewczucha? ...

Nie zdążył się jeszcze na nowem zainstalować miejscu — już radosną otrzymał nowinę! chłopak i jak dwie krople wody — podobny do taty.. „Ale to jakby pana zjadł!...“ — brzmiały dalsze listu szczegóły.

Zrazu — coś jakby tklivość — idjotyczna jakaś ojcowska duma i — gorące postanowienie: weźmie go do siebie!...

Ma się rozumieć — w porę się powstrzymał — surowo za niewczesne zgromił zapędy... Skrupuły — wysłaniem kilku setek zmieknął rubli... Zaś potem, ojcowską troską podszyty a zmienionym charakterem — na wszelki wypadek — napisany list posłał i — w porządku...

Urwał się wspomnień wątek i — co się z... nimi stało? — wypelzło nieopatrzone pytanie.

— A może... a może... — przemknęła cieniem niedomówiona odpowiedź.

Jakby kto rój ós poruszył — osaczyły go zewsząd wątpliwości...

Przeto prokurator się waha i — by zgłuszyć sumienie — akty sprawy ponownie przegląda...

Sekretarz monotonnym głosem i pospiesznie odczytał akt oskarżenia.... Franek Niedziela słuchał obojętnie — jakby nie o niego tu szło — po ławie świadków kosem okiem wodził i odruchowo o postać prokuratora zahaczał...

Po zgodnie brzmiących zeznaniach świadków, że — tak — tak i tak... zabrał głos prokurator... Wina, zdaje się, nie ulega wątpliwości... Ale że lepiej uwolnić dziesięciu winnych, niż skazać jednego niewinnego — przeto nie o karę śmierci wnosi, a o dożywotnie ciężkie roboty...

Teraz przewodniczący zwrócił się do Franka Niedzieli:

— Podpaliłeś?...

— Podpaliłem... — brzmiała spokojna odpowiedź.

— Zabijeś Kubiaka?...

Zabiłem!...

— Przyznajesz się do winy?...

— Niel... — zawołał porywczo oskarżony. —

Niel... — jo nie winowaty!...

— A kto? — ugodziło w niego pytanie.

Dech w piersiach wszystkim zapało. Franek powiódł wzrokiem w koło po sali — zatoczył ręką szeroko — szeroko.

— Wyl.. wyl.. — wyrzucił twardo, z mocą, wiarą i przekonaniem.

— Wyl.. wyl.. — powtarzał w jakimś dziwnym zapamiętaniu.

Prokurator miał wrażenie — jakby mu publicznie wymierzono policzek... Niby obuchem — waliły w niego słowa oskarżonego.

Wyl... Wyl... — rozebrzmiało w tysiącznych echach rozgłośnie w sali.

Przewodniczący zarządził przerwę...

Nad Frankiem Niedzielą czarne łopotały skrzydła śmierci...

Nie mówił nic — tylko wzrokiem, niby sztyłem, godził w zebranych:

— Wyl.. Wyl.. Wyl... Jo — nie winowaty!...

KONIEC.



Rysunek
Alberta Romara

MUZYKA W POLSCE PO CHOPINIE

Próba syntezy,
Napisał Dr. Adolf Chybiński
prof. uniw. lwów.

(C. D.)

W przeciwieństwie do dawniejszej naszej kultury muzycznej (z przed r. 1850) jest zmiennym dążenie współczesnej muzyki polskiej do utworzenia jakby odrębnej szkoły symfonicznej, dążenie zaś to uwiecznione jest już obecnie sukcesem — jak dotąd przynajmniej — nie pozostawia nic do życzenia. Rzecz można, iż muzyka symfoniczna pozostawała w Polsce przez cały wiek XIX na uboczu, kompozytorowie zwracali główną uwagę na operę, pieśń i muzykę fortepianową. Te trzy rodzaje już wakażują na wielkie uzależnienie twórczości muzycznej od upodobań ogółu, który nie miał możliwości zacerpnięcia tych potrzebnych i ożywczych wrażeń, jakie dała muzyka symfoniczna krajom rozporządzającym symfonicznymi orkiestrami. Prawie do 1900 roku Polska nie posiadała stałej symfonicznej orkiestry, co odbiło się boleśnie na orkiestrowej produkcji naszej. Dowodem tego stanu rzeczy i tego wzajemnego związku przyczynowości jest choćby to, że z chwilą założenia Filharmonii w Warszawie powstała natychmiast obfita już dziś literatura symfoniczna, reprezentowana głównie przez Karłowicza, Fitelberga, Różyckiego i Szymanowskiego. Ta t. zw. „Młoda Polska w muzyce” miała wprawdzie do zwalczania liczne przeszkody bądź pod postacią ignoranckiego zarządu Filharmonii (zwalczanego jednak altnym proteatem 28 muzyków polskich w r. 1908), bądź pod postacią jakby umyślnie sformowanego bloku krytyki, której kadry zawierały w niemałej liczbie kompozytorów, nie umiejących tworzyć na orkiestrę, gdy tymczasem reszta wytwórców opinii nie była przygotowana do wydawania sądów albo też stała na usługach kompozytorów starszej generacji, nie dzierżące z tą maestryą techniki orkiestrowej, z jaką posługiwała się nią groźna talentami i wiedzą najmłodsza generacja. Przytem ta ostatnia instynktownie uznawała za rzecz konieczną, iść ręką w rękę z prądami stylu i techniki panującymi w Europie, aby brevi manu wyrównać znaczny dystans chronologiczny między polską a każdą inną muzyką. Ponieważ zaś u nas ciągle jeszcze straszone było urojonem widmem, zwanem „modernizmem”, przeto nietrudno zrozumieć, iż przedawawiele „Młodej Polski w muzyce” szukali nawiązania stosunków na obczyźnie. Kilka sukcesów poza granicami kraju, a także kontrofenzywa przeciw uprzedzonej krytyce, prowadzona z energią, zdobyła Filharmonii warszawskiej przez znakomitego kapelmistrza Fitelberga, zdołały obalić znaczną część przeszkód. Wprawdzie tragiczna śmierć Karłowicza i inne wypadki zdołały rozluźnić organizację zwyczajnej grupy, ale dziś już nie trzeba liczyć się z istnieniem jakichś przeszkód dla lecące orlim lotem młodej i już kwitnącej symfoniki polskiej. Mimo to byłoby lekkomyślnym optymizmem przypuszczenie, iż Polska zna symfoniczne dzieła wspomnianych twórców nowego ducha w jej sztuce tonów. Powód tego stanu rzeczy jest bardzo prosty. Poza Warszawą nie posiada ani Kraków, ani Lwów stałej symfonicznej orkiestry. Koncerty orkiestrowe urządzone przez instytucje muzyczne tych miast nie mogą stać na wysokości artystycznych wymogów nawet przy najlepszej chęci kapelmistrzów, gdyż orkiestry tworzone ad hoc nie są symfonicznymi orkiestrami stałe i zawsze zgranymi z sobą, tworzącymi jakby osobną korporację, składającą się po części z amatorów, po części z muzyków grających ustawicznie utwory solowe, lub też przyzwyczajonych do gry operowej (dalekiej od precyzji gry symfonicznej), —

a wreszcie tych koncertów orkiestrowych w Krakowie lub Lwowie — stosunki poznańskie są inne i też nie dodatnie — jest tak mało, że agencje koncertowe są zmuszone spowodować niemieckie orkiestry, aby publiczności dać przynajmniej możliwość posłuchania dobrej muzyki koncertowej i zapoznania jej z dziełami nowszymi, których wykonanie rzadko nie przekracza sił owych lokalnych, co koncert jakby na nowo tworzonej orkiestr. Niekiedy, ale bardzo rzadko, wykona niemiecka wędrowną orkiestrę polski utwór. Tak więc ogół nadal musi ograniczać się do poznawania tylko solowej muzyki polskiej (i obcej), nadal opera, pieśń i muzyka na instrumenty solowe stanowi jedyną muzyczną strawę wbrew ogólnej tendencji w kulturze muzycznej Europy od dawien dawna. Usiłowania, aby operowa orkiestra lwowska (bardzo zresztą słaba) urządziła w teatrze od czasu do czasu koncert, — jak to bywa w wielu niemieckich miastach — natrafiły na opór ze strony przedsiębiorcy. W Krakowie te stosunki są jeszcze smutniejsze, gdyż tam nawet stałej opery, wychylającej się poza rąbek pierwociny artystycznej, wcale nie ma. Pozostają wszak jeszcze inne miasta polskie, które i zasobami i ilością mieszkańców przewyższają miasta czy Niemiec, czy Szwajcarii, czy Belgii, a jednak nie posiadają prawie żadnych czynników muzycznych, któreby można wziąć w rachubę... Łatwo zatem wyobrazić sobie niesłychanie trudną sytuację polskiego kompozytora i zrozumieć, dla czego szereg muzyków polskich nie mieszka w kraju lub znaczną część roku przepędza na obczyźnie (Paderowski, Stojowski, A. Winiawski, Różycki, Fitelberg, Szymanowski, Waghalter, Nowowiejski, Kromolicki, Kamieński itd. itd.). Tam przynajmniej nie mają do czynienia z licznymi, a często złodziejami przeszkodami w spokojnej twórczości, nie czują braków w życiu muzycznym... Tam mogą — o ile to leży w ich intencjach — także w talentach — iść do pewnego stopnia za biegiem rozwoju muzyki, nie cierpiąc z powodu jawnego u nas braku ciągłości w stosunkach między naszą publicznością a rozwojem ogólnej muzyki. Ten brak nie istnieje jedynie w dziedzinie opery, (choć 'nie bez zastrzeżeń') — i możemy powiedzieć, że publiczność polska na ogół przyswoiła sobie znajomość opery od Rossiniego do Pucciniego w tym samym stopniu, w jakim nie zdołała nawiązać bliższych stosunków np. z symfoniczną muzyką od Haydna i Mozarta do Straussa, Regera i innych mistrzów współczesnych. Łukę stanowią w tym ostatnim wypadku symfonie Brahmsa, Brucknera, C. Francka, Rimskiego-Korsakowa itd., tak że nie ma tego gruntu, na którym powstaje spontaniczna chęć zdawania sobie sprawy z symfonistyki ostatniego półwiecza, na podobieństwo rzeczywistej znajomości literatury ogólnej. Każda wybitna polska lub obca powieść od razu znajduje się w rękach polskiego czytelnika, który dobrze orientuje się w literaturze, nie zna żadnej przerwy między dawniejszą a nowszą literaturą. W muzyce rzecz ma się bez porównania gorzej: istnieją głośne dzieła symfoniczne, których nie wykonano, nawet w Filharmonii warszawskiej, mimo, że te dzieła są już od dawna własnością świata. Przyzwyczajono polskiego melomana do tego, że wie, jaki ma tytuł najnowszego opery Pucciniego lub nad czym pracuje właśnie ten kompozytor, ale nigdy nie wie, że już od szeregu lat jest w Paryżu lub Monachium wykonywana jakaś symfonia wielkiego współczesnego kompozytora francuskiego lub niemieckiego. Z niemiłą zdziwieniem można bardzo często spotkać się u nas z faktem, że człowiek interesujący się bardzo muzyką, nie zna nawet nazwiska symfonisty, który od długiego szeregu lat jest wszędzie grywany. Czyż to nie ma podobieństwa do innego faktu: na Zachodzie bywają na publicznych placach wykonywane symfoniczne wyjątki z „Tristana”, u nas jeszcze nie należy to dzieło do znanych nawet w sferach poważniejszych melomanów... Nie jest moim zamiarem bynajmniej występować tu w roli moralizatora w za-

kraie obowiązków społeczeństwa kulturalnego w obec muzyki, chcą tylko stwierdzić to niełatwianie trudne warunki, jakie ma przed sobą kompozytor polski, idący ręką w rękę z ogólnymi prądami i nie mogący stać się od razu tak znanym i uznanym, jak to bywa na zachodzie, gdzie muzykalne warstwy społeczne są dobrze zaznajomione z tem, z czego wyszły obecne kierunki w drodze zwykłej ewolucji. Tam nie ma przerw i braków w znajomości wielkiej linii rozwojowej. Jeśli mimo to istnieje u nas szereg znakomitych symfoniistów, którzy zrezygnowali z na-

tychmiastowego sukcesu i nie liczą się z trudnymi warunkami, lecz dążą jakby obok społeczeństwa, które nie może na razie za ich lotem podążyć, gdyż nie jest jeszcze do tego przygotowane dostatecznie, to nikt rozsądny nie weźmie im tego za złe, gdyż dzięki im możemy powiedzieć, że muzyka polska nie spaśnia się w ogólnym pochodzie ku przyszłości sztuki.

(C. D. N.)

RÓŻA MORYMUNDU

... O Trojo! jeszczebys aż dotąd stała
Pełna cnot dziwnych starych i miłości...
Jak dawny kościół cędrowy — spróchniała,
Gdzie jednak boża woń aż dotąd gości,
A często belka stara w oczach ludu
Rozkwitnie różą lub narcysem cudu...

(Słowacki, „Beniowski“, Pieśń XII.)



ziemi kujawskiej, pośrodku goplańskiego jeziora, stała wysoka Mysia strażnica. W niej to zginął pono srogi Aescheryk Germanin, zagryzion przez Semowita piastuna. A po zarzniętych cielskach Popielów wkroczyła w świat słowiański zwarta i ścieśniona w sobie, a w brzęku harnaszy dążyła przed się dynastia Piastowa. Ten Semowit zwycięsko dzierzył chorągiew ziemi ponad setniki a pułkownicy i spłodził Lestka. Ten zaś znów Lestek wartko machał berdyszem i spłodził Ziemomysłą. Ziemomysł zaś szeroko rozpostarłszy krańce władztwa swego, ustąpił stolca Mieszkowi. A Mieszko oczy źródłem chrztu świętego przepłukawszy, spłodził z matki chrystjanki Bolesława. Owo Bolesław cesara rzymskiego za stołem swym posadził i w miejsce sztyka książęcego przywdział diademę królewskie. Mieszko i Bolesław Wielki, odlani kunstem giserskim i postawieni w złotej kaplicy tumu poznańskiego, są chrzestnymi ojcami Starej Polaki.

Takie to były pierwsze konary błogosławionej jabłoni Piastowskiej, która cieniem swym potem Polskę całą nakryła i radowała serce świergotem ptaszki i rumieńcem fruktu. Ale wprzódzy korzenie boleściwie wpiły się i wssały w dymiące trzewia maci-ziemi ojczystej. Czasy te Starej Wielkiej Polace nadały wygląd znamieny aż po dziś dzień. Skupieniem, sfornością, szarym mozołem po dziś dzień odrębność jej się naczy. Prosty a surowy ten ton płacze i zgryzta

ze strun Kasprowicza. A w owych czasach ciężką niewolą, bezlitosnym musem, krwawym znojem, nieznośnym harowaniem się liczył. Za tych panów żelaznej prawicy ład był i mir po opolach. Pracowały w pocie czoła swego raby Boże, izby pułki królewskie miały co jeść i przyrodzić. Nieraz bujne plony niszczały pod rozpętanymi kopytami. Ale posłuch był.

Atoli już wrychle rozparły się duchy. Obok starszej braci narodu polskiego gardłować poczęła i młodsza. Nieprzystępnym staropolskim panom jeżem stanęli malopolscy panowie. Bolesławowi Szczodremu oparł się śmiały pan biskup Stanisław, za co ścięt jest na Wawolnicy. Na to wiciędze i żupany krakowscy rokosz podnieśli i wygnan jest król Bolesław. „Korzenie nie wydadzą zapachu, dopóki ich nie utłuc w móżdżerzu” rzekli sobie panowie polscy. I tłukli takżo panowie polscy korzenie niesforne w onym krakowskim móżdżerzu. Ale nie szczęścił im Pan Bóg w tej pracy. Zapisali się jeno poczwarami Herodów niedobrych w pamięci malopolskiego narodu, jak Mieszko Stary i syn jego Włodzisław o nogach jak pręciki. A obok nich i ponad nich rosły wielkie głowy zapobiegliwych komesów. Kiedy komesa Sieciecha wspólnym naciskiem wypchnięto z panowania, komes Skarbimir trzeciemu Bolesławowi podrósł aż do nosa, zaczęm oślepić. Skarbimirovi zaś stolca podstawił i z upadku jego radował się komes Petrek, wielkiej u książąt wziętości.

O, tym komesie Petru różne obiegały klechdy między ludem. Najwięcej już chwalono mu, że Włodara, kniazia na Przemyślu, porwał jak orzeł kurczaka i do kulbaki przytroczywszy przywłócił trzeciemu Bolesławowi pod nogi. Za młodych lat po mglistych morzach między duńskimi ostrowiami żeglował i brzuch szkut swych złotem nadziewał. Postarzał się w końcu lis chytry i rzadziej już ze swej nory na świat się wychylał i jak boruta siwy łape

swą liżący, siedział w zamczysku warownem, które sobie kamiennymi monasterami po bokach sówicie okrasil. Tuż pod Wrocławiem, na Sobotniej Górze, stał ten kasztel jego, a obok był kościół Bogarodzicy z klasztorem kanoników z Brabantu. Ponieważ jednak mnisi ci aury sarmackiej znieść nie mogli, przeprowadzili się niebawem niżej nieco, do Górki, a wreszcie do samego miasta, gdzie mniej dokuczaly lute Bo-reasze. Inny klasztor, na duńskich dukatach ufundowany, był św. Wincentego, gdzie wygodni czarni mnisi siedzieli z opatem Rudolfem, z którym to, jak długie jezory glosily, żona pana Petrka zbytnio się poufalić lubiła. Rusinką była, a Marya na imię jej było, a porwał ją swego czasu komes Petrek, kiedy dziewczosłębiąc innemu do Kijowa, w niej sobie upodobał. Córę miał już dojrzalą, za którą wiano niezgorsze wziął Jaksa, książę serbski, siedzący sobie na małopolskich urodzajach. Z innych panów, którzy po komnatach na Sobotce chadzali, był syn Petrków, pan Świętosław, oraz możny starosta krakowski Mikora. Często gościem bywał Janek, biskup sąsiedniego Wrocławia, z rodu butnych Gryfitów, a krewniak po mieczu księcia Jaksy serbskiego, o którym już była mowa.

Był zaś onego czasu biskupem w ziemi krakowskiej Mateusz, krew zacna a mąż wielce krotofilny. Gdy raz ziemi tej książę Bolesław przez posły o pomoc pieniężną go prosił, — zaprowadził posły one do wychodu, gdzie kały ściekały i rzecze: „Wejno, zacerpnijcie se tu skarbów, — owa gdzie dochody moje płyną“. Razu pewnego, kiedy Mateusz ów bawił we Wrocławiu, gdyż kościół wtedy mnichom czarnym poświęcano i komes Petrek, komes Jaksa, biskup Janek, opat Rudolf i wielu zacnych mężów się zgromadziło, przywiózł biały mnich z dalekiej ziemi pisanie na oslej skórze. Rozpostarł je zatem pan biskup Mateusz i przeczytawszy, zaniósł na rozgwarękę z panem Petrkim. Pomówiwszy z nim, pióro sobie naciął, w czernidle umaczał i tak napisał: „Mnie wielce miłościwemu panu opatowi Bernardowi z Klarewalu częśc i pozdrowienie! Plemię ruskie, o które się pytaliście, mnogością swą gwiazdom przyniebnym się równa, a żyje w wielkiem niechłujstwie wiary. Najlepiej więc, abyście, czcigodny panie opacie, sami zechcieli tu przybyć i, jak Orfeusz, śpiewak on zacny, pieśniami przy lirze lasy głaskał i chropawe skały tak wymową Waszą i żarem miłości dzikich słowian wyglądziłi!...“ List ten zapieczętowali i wysłali przez umyślnego w zagórskie strony, do wielkiego opata białych mnichów. I wieciorami długo potem rozprawiali o tem, jakim sposobem ruskie ziemie sobie pozyskać.

Rzekł raz do pana Petrka pan biskup Mateusz: „Ojcie Petrku, dajcie nam grosiwa nieco, bo konfrater Jan koniecznie nowy klasztor pragnie wystawić, a moje denary zjadło jadło i piwo wypilo.“ A presul Janek Gryf, wrocławskiej owczarni pasterz, dorzucił: „Wam kpiny na języku, a tu opatowi wielkiemu przypodobać się można i wiarze przysłużyć.“ Petrek zatem sięgnął prawą ręką do skrzyni i położył na stole sotnię greckich złotych, sięgnął lewą i drugą sotnię wyłożył: pierwszą Mateusz zgarnął, Janek drugą i postawili w Brzeźnicy klasztor, w którym zasiedli biali mnisi francuscy. A ci w tęsknocie swej za niebem rodzinnem osadę polską przewalili MORYMUNDEM. A choć często obracali z tęsknotą oczy ku zorzom zachodnim, wyczekując, czyli nie zarysuje się cień wielkiego opata Bernarda, zdążającego znużonym krokiem do nowego Kanaanu... próżną była ich nadzieja. Owszem smutne echo wieść przyniosło taką, że wielki opat ułożył się do wiecznego spoczynku. Sposępnili panowie na Sobotniej Górze; i pan wojewoda Petrek niebawem znużone kości wyciągnął na tapczanie śmiertelnym. Janek Gryf z Wrocławia przeniósł się na arcypasterstwo w sędziwym Gnieźnie. List niegdys pobożną ręką opata Bernarda napisany długo tulał się po policach między zbutwiałemi kodeksami, a poszedł wreszcie pod placki. Zaś pisanie pana biskupa Mateusza w zagórskich klasztorach gdzieś prochem przypadło. Zdawać się mogło, że zapomnieli małopolscy panowie ze szczerem o dawnej nysli ruskiej. Ale gdzieś jeszcze w ukryciu kwitła ona, choć w innym kolorze. Książę Henryk Sandomirski w młodych jeszcze latach zabiegł aż do Ziemi Świętej na bój z bisurmaństwem; w tropy za nim nasz komes Jaksa Gryf poszedł próbować klingi na karkach saraceńskich, a przywiózł rycerski zakon Bożego Grobu do samego Miechowa. Książę Bolesław Kędzior zęby sobie pokruszywszy na cesarskim żelazie, obrócił się ku pruskiej dzicz. A kiedy wici rozesłano i gdy szlachetne kwiecie białego rycerstwa wyginęło w bagnach pruskich, dał gardło i Henryk Sandomirski. W roku wielkiej tej przegranej, zmarło się i panu biskupowi Mateuszowi, a w rok potem i arcypasterza Janka wieko truny przysgniotło na zawaze.

Ale Opatrzność dziwnemi chadza drogami. Już wtedy młode rycerskie pacholę o jasnych oczkach biegalo po ojcowskim Karwowie, które gdy do miecza niebardzo się wkładało, oddanem jest na nauki. Rósł młody Wincenty, Bogusława syn i smakował w pisanej mądrości, choć nie głuche miał ucho i na głosy życia prawdziwego. W dworze ojcowskim nasłyszal się nie raz pewno o księciu Henryku Sandomirskim, panu tej ziemi, i o komesie Jaksie, druhu jego wiernym, nieraz uderzyły słuch jego lamente nad bliskimi, którzy

poszli na wojenkę pruską i nie wrócili. A uczoney Kraków przez usta biskupa Getki Gryfa o Janku Gryfie słyszał, czy też o wesołym Mateuszu. A z ust białych mnichów, którzy często gęsto się uwijali po kraju, słyszał głoszoną chwałę i Mateusza i Janka Gryfa i komesa Petrka, którzy im pierwszy w kraju monaster udziałali. Lecz głodnego ducha powiastki takie nasycić nie mogły. Jemu świata się chciało! Boć rodzinny kraj słowiański grzął w chłopskiej prostocie. Nad szarą Wisłą kuliły się drewniane kasztele i kościoły jak grzyby poczerńnięle od deszczów strzechami nastroszone. Po rolach potulne chłopstwo siedziało. Nad nimi zaś po wzgórzach były sępie gniazda jasnookich panów, którzy w świetnych rynsztunkach chadzali i umieli prychające rumaki gnać poprzez bujne zboża. Tylko po paru bystych głowach jakieś pogmatwane myśli o chrześcijaństwie a pogaństwie, o dzicy a rycerstwie, o wschodzie a powołaniu...

Europa dała mu oddech szeroki. Wiek, w którym na świat się wychylił, brzemienno był nowymi cudami. Już za furtką stało 13te stulecie, mające Europę gwałtownie posunąć nowożytnym torem. Francuski ogród kwitnął i woniał bielą cystersów, dźwięczał świergotem piosenek. Normañskie sokoly przyleciały z ponurej północy; wzięli normańskie i angieskie wybrzeża, Sycylię i Neapol, awanturowali się po lazurowych brzegach, tłumiąc innych polorem i bystrością umysłu. Świat Syrii, Persji, Indji słął moc wrażeń. Z drugiej strony zielona wyspa celców jaśniała w tęczowych blaskach poezji. A w pośrodku tego cudownego zodiaku orzeł cesarski krwawił sobie pazury o Piotrową opokę, a w zawartych miastach Italji odkrywano ponownie pojęcie PRAWA; ważącego szale świata. Gdy ze studjów powrócił do kurnych chałup ojczyzny, małą i niepokazną mu się wydać musiała. Po Europie gwarliwej, rozdyptowanej, spiętrzonej w lennicze stopniowania, rozgorączkowanej po nowych Aleksandriadach, tu mrok, spokój i piecza o sute kołaczce a gęste piwa. Tem wyżej cenić go należy, że nie odwrócił się od niej z pogardą, jeno z synowską miłością w migotliwych ognikach szukał odbicia słońc, które Europę ciepłem i światłem darzyły. Aby postawić ją na równi z narodami zachodu, zasiadł do poważnego dzieła, które objąć miało całokształt dziejów narodu.

A plan do niego układając, z głębi zdrowego instynktu naszkicował postacie dwóch starców sędziwych, którzy długimi wieczorami przy żółtem łuczywie dzieje polskie mieli rozpowiadać. Tymi starcami zaś, ojcami historii polskiej, uczynił Mateusza biskupa

krakowskiego i zacnego Janka arcypasterza gnieźnieńskiej metropolii, jako przedstawicieli wieku minionego, którzy w swoim, z głębi przekonani zaczerpniętem świetle, przeszłość przed oczy nam stawia. A więc niechybnie pan wojewoda Petrek w opowiadaniu ich musiał się ukazać jako pogromca ruskiej gadziny, o księciu Henryku i żalosnym jego zgonie była mowa, a później, gdy postanowienie opisanie i dziejów współczesnych pozbawiło Wincentego tych dwóch poważnych dialogistów, w myśli ich nie przepominał o tryumfach sprawiedliwego Kazimierza nad ruskim Przemyślem, Włodzimierzem, Drohiczyńcem i radowało się z upadku dumnego Romana, króla na Haliczu, jako przekonani ich i pragnień spadkobierca rzetelny. Ale nie tylko proza chwili niedawnej dostarczała przedmiotu tym rozmowom historyczno-moralnym. W cieniu przeszłości fantajza Wincentego rzuciła najpowszechniejszą fatę morgane. Wydać się może, jakoby z lubością z pospolitej szarzyzny uciekał w wyniosłe kraje uludy. Na tle sytych pralatów i hałaśliwych plebanów odcina się jasno wysokie czoło Wincentego, który pilnie w smoczym zamku rozwiesza światła nauki i szerokim pędzlem tapety swe historyczne farbuję: smoki i dziewice, rycerze i filozofy, błazny i królowie, gryfy i waleczniki, senatory i murzyny wiją się różnobarwnym łańcuchem, dziwolągami i mądrymi sentencjami gęsto przeplatany. W ziemiach pustych dotąd i jałowych rośnie świat wojowniczy rycerski, chrześcijańsko-moralny i suty kłós puszczający cnoty walecznych a umiarkowanych bohaterów. Bardzoż bowiem od mosiężnego wrzasku puzanów do serca Wincentemu przypadło pojęcie PRAWA, w murach Bononji nabyte; w niem widząc spraw ludzkich mistrzynię, mądrymi szrankami sprawiedliwości a rzetelności szerokie pole popisów obwarował.

Pisał wielce kunsztownie, że mową łacińską władał jak trzcina, więc pokornie lgnęła wedle jego woli, raz strojąc się w najśmielsze nowotwory, raz ścieśniając się do przymusowej lapidarności, raz przenośnie nadziewając przenośniami i tocząc się rozbieżnym nurtem. A mistrz jej wzdychając, śmiejąc się, szydząc, gromiąc, podsuwa czasem swoim gładkie zwierciadło, a w różnorodnych porównaniach, przyskładach i przypowieściach ilustrując wielkie kuzynostwo krwi czy myśli: z warstwami gocko-wandalскими, skamieniałymi gdzieś w głębi społeczeństwa polskiego, z wspaniałością rzymskiego cesarstwa i rzymskiego Kościoła, z tryumfami Aleksandra Macedona i odrodzeniem ich w epoce krzyżowej. Dzieje nieznanego kraju rozszerzył i uświetnił, o sławie republiki tej naszej perorował więc z werwą obywatelską; bogactwem erudycji, żywocią uczucia, zręcznością

pisarską dodawał blasku tym dziejom, które ukochał nad wszystko. Szumnie i pysznie wysypał się bujny ten pęk kwiecica i listowia na glebie nieurodzajnej; a po wiekach jeszcze uczzone nosy z niedowierzaniem weszły po cudacznych kielichach niecodziennego koloru i czoła w faldy mądre się marszczyły.

Takim było opus mistrza Wincentego, w którym równocześnie utrwalił pamięć Janka i Mateusza i kierunek ich polityki, z którego on sam wyrósł, a zarazem odbił całe panoptikum kultury współczesnej. Była to myśl godna filozofa: przedstawić w szeregu przykładów krajowych i obcych jedność praw moralnych kierujących ludzkością. W odniesieniu do Polski pojęcia te moralno-konwencjonalne zgęściły się potem w trwały system polityczny. Bo w tem leży mistrza Wincentego znaczenie. Te przekonania, na których osnuł swoje dzieło, wpoily się głęboko w sumienie narodu. Na kartach pamięci polskiej jawią się obok siebie: historyk-moralista Wincenty i mecenas swego Kazimierz, któremu potomni nadali przydomek Sprawiedliwego. Za magistrowania Wincentego i Kazimierzowych rządów owo najgłębsze pragnienie sprawiedliwej wolności wyprysnęło pierwszym sejmem w Łęczycy. A po zgonie mecenasu swego, któremu ze skarg wolności, sprawiedliwości i mądrości usnuł całun poetycki, magister Vincentius nasyciwszy się mądrymi przypowieściami, umczywszy się nad wprowadzaniem ich w czyn polityczny, zstępował jeszcze głębiej. Bierze się do pracy nad ustrojem duszy. Górę bierze w nim myśl, że marą pozostanie najidealniejszy rzeczy porządek, o ile nie wesprze go podniesiony w jednostce nastrój duszy. Mądrego nauczyciela książąt i panów, troskliwego biskupa, słynnego pisarza bierze w macierzyste ramiona MORYMUND polski. — Legenda przemianę tę przerobiła na naiwną powiastkę o piorunie. — Czując rozbrat między złotym blaskiem i perłanami połyskami kroniki jego a korną ciszą jędrzejowskiej pokuty, szukano uchwytnej jakiejś przyczyny. A wiadomem było, iż onego czasu, kiedy biskup krakowski Wincenty stanął u szczytu sławy autorskiej i powodzenia świeckiego, podczas hucznej na Wawelu biesiady spadł piorun niebieski na katedrę i spopielił do cna skarby od wieków tam nagromadzone. A więc, — rozumowano —, grzmot huczący po sklepieniach Wawelu, spłoszyć z niej musiał majaki światowej chwały. Zaczem Wincenty rzuca infułę i pastorał, odsuwa dochody i widoki, przywdziewa habit opata Bernarda z Kłewalu i kryje się w polskim Morymundzie.

Ale kto uważnie śledzi za mistrza Wincentego duchowymi antenatami, ten rozbratu w życiu jego nie ujrzy, przeciwnie wielki a składny porządek. Bo owa wrażliwa, ekstatyczna nerwowość przejmująca w owych wiekach dreszczem świętobliwym dusze ascezie i służbie Bożej całkiem oddane, czai się już w niebываłych splotach, chorobliwych antytezach, wysmakłych ozdobach, rozlewnych perjudach, cudacznych określeniach, od których mrowi się w kronice jego.

Z chwilą, kiedy furta klasztorna za nim się zamknęła, Wincenty odbiwszy się od gliny pospolitych dróg ludzkich, unosi się w różnych jasnościach cudu, staje się legendą. Modły i umartwienia za życia, cuda i uzdrowienia u grobu jego, wiją mu wianek promienny. Ostatniem tych przekonań odbiciem jest książeczka napisana przez biskupa Bandurskiego¹⁾ mająca na celu obudzenie czci religijnej dla Wincentego. Pokazuje ona nam postać pierwszego dziejopisa-Polaka w aureoli wiekowych tradycji, chowanych po mrocznych kryptach i zacisznych krągankach klasztornych. Choć może słabła z czasem pamięć osobista o nim, żyły przecież dzieło i żyły przekonania jego. Bo obok postaci biskupa-zakonnika, jawią się cienie kanoników jego Jacka i Czesława, pierwszych naszych dominikanów i uczennicy jego Salomei, a za tymi wstaje cały miraż żarliwego wieku „świętych polskich“, żyjący dziś w dalekich odbłyśkach na kartonach Wyspiańskiego. Cała zaś popularność Wincentego zogniskowała się w akcie kanonizacji św. Stanisława. Toć Wincenty pierwszy stanął w obronie poprzednika swego na krakowskim biskupstwie, a pół wieku namiętnej propagandy wyniosło na ołtarz szczytów Stanisława i legendę jego uczyniło przepowiednią polityczną. A doprawdy wiedzano dobrze, że z tym męczennikiem wznoszono na ołtarz narodowy zadatek nowego ładu w królestwie tem polskiem. Stało na zawsze pojęcie prawa, nie stanowego, feudal-nemi rowami obciętego, jedno przepojonego łagodnem ciepłem ludzkiej przystępności. A gdy obchodzono święto to w Krakowie, grubopienne gromnice płakały rzewnymi strugami wosku zbywającą jeszcze jedność polityczną narodu... A wtedy Stara Polska, odepchnięta w nowym ruchu, staremi niby poglądami zaśniedziała, z mroków gnieździńskiej katedry zabłyła złotem Bolesławowej korony. Starą koroną uwieńczyła urobioną w dwuwiekowym wewnętrznym napięciu nową Polskę.

¹⁾ „Biskup-zakonnik Błogosławiony Wincenty Kadłubek“ Kraków 1904.

A w urabianiu tem wewnętrznem niepoślednia zasługa należy się Wincentemu. On poniekąd i dalszej przyszłości wyznaczył moralny kierunek. Cały wiek 13-ty, świętych i rycerzy, stoi pod jego wpływem, echem jego prawniczych upodobań będzie ustawodawcze dzieło wielkiego Kazimierza, a przeczytuty przez niego zwrot Polski ku wschodowi nastanie z unją i polityce polskiej nowe pole otworzy. A dalej nawet: odkąd królestwa patronem stał się poddany wypowiadający posłuszeństwo królowi — a tak przecież było — już i szlachcic śmieiej królowi będzie stawał i czapkę nasuwał hardo na czoło i szabli macał.

„Bezpiecznaś złota wolność w różowej koronie
Gdy ci stanął Wincenty biskup ku obronie!”

Owszem wreszcie i zaczął postać Wincentego wyniosły do rzędu błogosławionych wiek 17y i 18y. Znamienne to, że król-szlachcic Jan III, fulmen orientis, w przededniu wyprawy wiedeńskiej udawał się do papieża z prośbą o uświęcenie Wincentego. Życie i cuda jego opisywał nabożny Starowolski, chwalił panegiryk o „zapachu Róży w Morymundzie Polskim”. Barok kochał Wincentego i szczątki jego w srebrnej trumnie umieścił na ołtarzu. Była to miłość taka prawnicza, niejasna i nieświadoma. — Ale inaczej już w dobie ostatniej, kiedy to „królestwo nierządne i zginienia bliskie” do ostatecznego upadku się pochylilo i złowrogo trzeszczały krokwie pułapu, wielki miłośnik nauk i sztuk wszelakich król Stanisław August, w zbiorze obrazów, który miał w Belwederze, umieścił i portret, pierwszego Polaka-dziejopisa. Obraz ten bardzo późny, z fantazji oczywiście odtworzony, przedstawia prałata w mniszym habicie z książką w rękę i z infulą a pastorałem rokokowym w głębi.

Oblicze o pociągłym nosie. małych ustach, szczupłej brodzie i szerokiem czołe ma wyraz bolesnego napięcia i wielkiego znużenia. Czy od pastorału i książeczki wysmukłej gdzieś w dal pobiegły. Dzieło to zaleca się intuicyjnem wczuciem się w indywidualność niezwyklej tej postaci naszej literatury, widząc w niej osobistość ciekawą, nie bylejakiego annalistę z czasów barbarzyństwa i zabobonu. Epoka Stanisława Augusta, otrząśnięty z pudrów i pyłów, przy świtającej zorzy romantyzmu, przeczuła w nim człowieka i w pilnych badaniach, zawstydzających dzisiejszą naszą obojętność, zgłębić go usiłowała.

Od tej chwili mistrz Wincenty już zmartwychwstał. Prawdziwa jego kanonizacja już się odbyła. Mogły ostatnie lata przechodzić nad nim do porządku dziennego, jako nad niepoprawnym fantastą, bajdokletą i łgarzem, plotącym ni w pięć ni w dziewięć koszałki opalki ad majorem Dei i duchowieństwa gloriom! Kto dziś nad średnimi wiekami w Polsce pragnie się zastanowić, nie może zadowolnić się wyrokami o „historjografii babińskiej”. Lepiej już chodzić koło kroniki tej, jak około tajemniczszej księgi o siedmiu pieczęciach...

I tak nie zawadzi położyć tu na końcu tego wizerunku słowa z kroniki Wincentego wyjęte, które i na nim się sprawdziły:

„Słońce zajdzie często za chmury — lecz nigdy nie zgaśnie”.

Moguncja, dn. 15. 8. 17.

Teodor Tyc.



MISCELLANEA.

STARA BAJKA, powtarzająca się nieodczownie z tą chwilą, kiedy zaznacza się głębszy odruch umysłowy i twórczy, odżyła znów pod wpływem narodzin „Ostoi” i „Zdroju”. Różnica polega jedynie na tem, że dzisiejsi piewcy tej bajki intelektualnie i psychicznie nie tylko równają się swym prekursorom, ale zdradzają tem wyraźniej akamienienie duszy i zastraszające zanikanie komórek mózgowych. Zaprawdę — nie wiedzieć już, czy mamy do czynienia tylko z absolutnem nieuctwem i ignorancją, grzeszną wprost cianotą wewnętrzną, czy też z złą wolą i pospolitą nieuczciwością.

Z temiż to objawami walczyć musiał ongiś „Tygodnik literacki” Woykowickiego, z temiż „Życie” krakowskie, a nie mniej „Chimera”. I kiedy odczytujemy roczniki tych czasopism, które przecież w ruchu umysłowym i twórczym narodu są epokowymi zjawiskami, mamy ochotę odpowiedzieć tym, którzy dzisiaj napadają „Ostoję” i „Zdrój” w sposób nie mniej zuchwały i ograniczony, słowami onych czasopism. Wątpimy jednak, aby tamte słowa były dość przystępne dla naszych stróżów nie tyle „moralności” (jak głoszą) ale raczej stróżów duchowego zastój, dla tego ich nie powtarzamy. Czytelników zaś naszych odsyłamy do „Chimery” tomu I. (1901 r.) str. 340. Że ataki ówczesne, skierowane przeciw wyżej wspomnianym czasopismom a obecnie przeciw „Ostoi” i „Zdrojowi” są tylko zazartą nienawiścią do Sztuki, dowodzi rodzaj walki, stosowany zawsze bezwzględnie na rodzaj twórczości autora albo „credo” czasopisma. U nas szeroki pokłask zdobywają sobie wszelkie kierunki „nijakie”; bezpłciowość najwyższym jest wyrazem tężyzny człowieczej. To też pisarze, poeci, artyści, których temperament twórczy nie pozwoli się „położyć”, jeno raz wraz mają spokój opasów tryumfalnem pegaza rżeniem — jak ongi, tak i dziś są celem napaści podwórzowych stróżów. Kiedyś „Chimera” zwalczać musiała zuchwałych pegaza „pogromiciele” i pisząc o „traktowaniu z góry i protekcyjonalnie takich twórców jak Zeyer, Kasprzowicz, Przybyszewski” taką wrzescie daje im odprawę: „...liczne aluzye do powieści Przybyszewskiego i do „ulubionych mu dziś tematów”. musimy nazwać prostem — chamstwem.” (Tredecim). Gdyby dzisiejsi krytycy „Zdroju” i wydanych w „Ostoi” dzieł wczytawali się w akarbiec twórczej myśli, jakim jest „Chimera”, z pewnością uniknęliby przystosowania do nich cięć wymierzonych wówczas przeciw ich starszym kuzynom; uniknęliby z pewnością, bo choćby nie zdolali pojąć całej głębi „Chimery”, przecież salwowałyby się już z względów samolubnych.

Teraz więc niechaj piją nektar „Chimery”, który jest im gorzka.

Czytamy dalej: „Artykuł w Przeglądzie Katolickim pisany jest z pianą na ustach, co już samo nie przystoi księdzu...” i dalej: „Oszczercstwem równie świadomem jest zarzut niemoralności zrobiony poematowi Kasprzowicza. Znaczenie ma jedynie duch utworu, zamiar autora, nie zaś pojedyncze słowa czy wyrażenia. Gdyby inaczej było, moglibyśmy nazwać niemoralnością prosty rachunek sumienia w książce do nabożeństwa, a jeśli chodzi o doskonałość wyrażań, to zapewne pan X. nazwałby również bluźniercą — dajmy na to — Odona z Cluny, przy języku którego błędna najmielsze analizy współczesne, wydają się nieśmiało i najbrutalniejsze autopsye...”

Czytamy wrzescie zakończenie: „— całe wystąpienie, oparte na kłamstwach świadomych i obłudnych insynuacjach, jest w najwyższym stopniu niemoralne, a kto chce moralizować drugich, ten przedewszystkiem dobry przykład dawać powinien.”

Oto ustępy z „Chimery”, które gotową są odpowiedzią na dzisiejsze napaści i gdyby „Zdrój” przeznaczony był jedynie dla Poznania i okolicy, mógłby poprzestać za łaskawem pozwoleniem byłego nakładcy „Chimery” na przedrukowywanie przystępniejszych rozdziałów. To co było w Warszawie przed dwudziestu laty resztą nieuctwa, ignorancji i karłowatości duchowej, to u nas dziś dopiero w całej ujawnia się nagość.

Wśród niezmiernie cizry, w której duch wszelki wygnany w przedsionki, izby nie mając ogólnej drzemki, narodziła się „Ostoja” i narodził się „Zdrój”. Brat i siostra — zbudzili wszystkich.

Głuche pomruki dolatywały z „wyleżałych barłogów”.

„Zdrój” i „Ostoja” przerwały sen błogi, a tym, którzy się mienili stróżami duchowej wartości ogółu, wymierzyły dotkliwy policzek.

W pierwszym porwy uderzyły zbudzone śpiochy, warcząc gniewnie a groźnie. W pół śnie nie wiedzieli dobrze o co chodzi. Na chybił-trafił rzucały tem, co im właśnie wpadło pod rękę; ciosy jednakże nie mogły być dotkliwe.

Nastąpiło oprzytomnienie. Zaczęto szukać nowej broni: t. zw. argumentów.

Uderzono więc przedewszystkiem w czynne naradowe a nie mniej silnie w bęben moralności: Orkiestra zagrała! grały jednak tylko instrumenty najwrażliwsze.

I dziś jeszcze w nutach tego koncertu doczytać się można arcydzieł w swej zwykłości akordów.

Ultra narodowiec wołał: precz z „Ostoją”, że nie jest dość narodowa; członek partii politycznej podziwiał „Ostoję”, że cichaczem stoi na usługach partii przeciwległej; filozof czy trzeźwy obrońca rozsądku nastawił oszczepu przeciw piamu naszemu dla tego, że wyrzec się nie chce uczucia i wyobraźni, co to jasność rozumu przyćmiewa; purytanin w chórze dewotek czy ronił nad niemoralnością „Ostoi”, że weszła w styczność z autorami, którzy piszą rzeczy sprzeczne. Wrzescie przyłączył się ten i ów katęgarz nakładca i wołał, że on byłby lepiej rzecz uchwycił — gdyby był uchwycił.

Na czoło chóru tego wysunęły się jednostki, które najmniej mają prawa wtrącania się do spraw sztuki i z nią związanych głębokich zagadnień. Pragniemy oszczędzić im wstydu, nazwiaka ich więc niech pozostaną tajemnicą dla czytelników „Zdroju”.

W „Wiadomościach dla duchowieństwa”, organie związku kapłanów „Unitas”, w numerze 4 (dnia 30. kwietnia 1917), pod nagłówkiem „Nasze zadanie w przyszłości a czytelnictwo”, po wstępie prześladowanym ko-

munałami o „olbrzymiej doniosłości zadania“ o „siłach moralnych, umysłowych i fizycznych“, o jadach deprawcy i o „zatykaniu źródeł, z których deprawca płynie“... napisano dosłownie co następuje: „Przecież jeden z naszych tygodników, który dalibóg wdzięczne ma pole pracy, a który już przed kilku laty drukował długie, wprost pornograficzne romansidło, drukuje obecnie od miesiąca całych jedną z najplugawszych powieści Tolstoja: Anna Karenina! Na domiar złego pragną teraz uszczęśliwić Poznań spółką wydawniczą, która ma pracować pod hasłem, wypisanem w programie: Nie krępować się żadnymi względami! Żadnymi! A więc ani religijnymi ani etycznymi! Co to znaczy, można się domyślić, zwązywazy, że do firm, jakimi sobie robi reklamę nowa spółka, należy Przybyszewski, Żeromski, Tetmajer et consortes. I nam księżom ámieją jeszcze nadsyłać odezwy z zachętą do przystąpienia do takiej spółki! — A więc bacznosc! Nie omieszkajmy przy odpowiedniej sposobności nazwać rzeczy po imieniu i wypowiedzieć jasno i bez żadnych kompromisów, co o takich przedsięwzięciach sądzić ma katolik. Nam potrzeba zdrowego pokarmu dla duchów i umysłów przyszłego pokolenia! O tem niech pamiętają i nad tem niech pracują nasze stowarzyszenia kulturalne — i my w tym kierunku wpływ, który mamy, wywierajmy, a nie pomagajmy tym, którzy się na pażenieć na zdrowy chleb, lecz — szaleją!“

W zeszyte 7. zaś tegoż pisma znajdujemy rozprawkę o podobnym pokroju. Autor stara się obniżyć wartość książki „Szlakiem duszy polskiej“ St. Przybyszewskiego i dmie w ulubioną swą trąbkę. Odwaga jego stopniowo zamienia się w zuchwałość, urągając całej nowoczesnej poezji, sztydzącą z „kornego uchylenia głowy przed bluźnierczym Kasprowiczem“. Popłatawszy się wreszcie w arkanach Wiary a pomyliwszy pojęcie płci z pojęciem deprawcy, tak kończy swoje wypracowanie:

„...I taką książką nasz katolicki Poznań obdarza- nieszczęśliwą Polskę, żądną zdrowia i pocieszenia. I autor takiej książki, którą uważa za najważniejszą z wszystkich, które dotąd napisał, nazywa siebie Janem Chrzeci- cielem dla Parakleta duszy polskiej!“ Niema się więc pewnie czemu dziwić, że my kapłani, stojący na straży etyki i religii ognisk dusznych i domowych, z troską i obawą spoglądamy w przyszłość i obawiamy się niebezpiecznego najazdu literackiego, obawiamy się wszelkich spółek i czasopism, gdzie objawiać się będzie indywidualność bujna takich pisarzy, bądź jak bądź duchem nam obcych. Videant consules!“

Nie będziemy nurzyć czytelników naszych dalszą humorystyką, przytoczyliśmy dwa te głosy jedynie w tym celu, aby uwypuklić środowisko, w którym pracę rozpoczęliśmy, aby ujaśnić konieczność istnienia reduty, o którą rozprysnąć się muszą reakcyjne zakusy tych, co koniecznie pragną:

„Mieć nad społeczeństwem pieckę,
„Oraz literatureczkę
„Na obroczną miedlic sieczkę...

(Lemański)

Ale, i przyjaciółmi obdarzyły nas Nieba, osobliwymi przyjaciółmi, którym tu słówko poświęcić winniemy. Z dobrego, pocziwego serca płyną te rady i ostrzeżenia, szkoda tylko, że nie z ukochania sztuki, której służymy, ale z oczywistej sympatii dla — redakcyi! Postradanie przyjaciół! stwózenie sobie zastępu niechętnych i wrogów! — oto straszaki, które nas od wiernego pełnienia przejętego obowiązku mają oderwać. Przyjaciele ci zapominają nieestety, że „Zdrój“ założyliśmy w zgoła innym celu, niż w celu pozyskiwania „przyjaciół“ dla osób w skład redakcyi wchodzących. Poza tem wiemy, że największą liczbą przyjaciół cieszy się ten, kto albo nic nowego nie ma do powiedzenia, albo schlebia tłumowi. „Zdrój“ jednak ma bardzo wiele do powiedzenia, ale na pochlebstwa niema w nim miejsca.

„Strofujeśz mnie, że obrażam moje przyjaciół. Nikogo nie obrażam, ale praca moja tysiące ludzi obrazić może...“ „O gdybyś ty przyszła do takiej wysokości, żebyś ja mógł kiedyś napisać ci trzy słowa: „Matko, oto świat mnie znienawidził“, a ty, żebyś wtenczas wykrzyknęła: „Chwała Chrystusowi, widać że ducha swego prawdy i miłości znalazł na dziecko moje“. Ja do tego dążę.“ (Słowacki — Listy do matki).



Z NAJBLIŻSZEGO „ZDROJU” OTOCZENIA.

Powstanie pisma naszego wywołało ferment, nawet zanepokojenie, ujawniające się raz poraz na zewnątrz w prasie, na zebraniach świeckich i duchownych, w kółkach prywatnych, gdzie rozwija się systematyczną robotą przeciw „Zdrojowi”, oraz w listach akierowanych licznie do nas. Dzisiaj już zaczynają niektórzy trąbić na odwrót — odwrót taktyczny.

Snadź sprawa „Zdroju” nabrała w oczach wielu z pośród przeciwników wszelkiego duchowego odruchu z codziennością nie związanego, zbyt rozgłośnionego znaczenia. Uznali więc widocznie, iż taktyka ich chybiła; porzucili otwarte pole, w okopy się schowawszy.

Czy to bagatelizowanie naszego pisma, czy protekcyjne i poufale klepanie po ramieniu, czy udzielanie rad ojcowskich a wytykanie błędów popełnionych i niepopołnionych, czy wręczcie dla podtrzymania prawdopodobieństwa słuszności własnej przeinaczanie słów i zamiarów naszych i naciąganie ich dowolnie według miarki rozpatrywań z dnia na dzień — oto nowa taktyka, która doprowadzić ma powoli pismo nasze do nuty ogólnej wielbionej katarynki.

Są tacy z pośród największych antagonistów „Zdroju”, którzy niezmiennie żalują, że pismo nasze „poza wspomnianym atrykułem redakcyjnym (zeszyt I.), nie okazuje żadnej specjalnej „wojowniczości”. Nietrudno odgadnąć źródła ich żalu: spodziewali się ulicznej walki, która by im dostarczała taniego materiału argumentacyjnego. W naszym „słowie wstępem” myśleli materiał ten znaleźć w oderwanych określeniach, że jednak myśli i ducha weń zawartego pojąć nie zdołali, wołał zbyć go kilku frazesami o jakowejś nieokreślonej wojowniczości.

Walki brukowej podejmować nie myślimy, a prawdziwej walki o wolność twórczego ducha językiem popularnym nie będziemy wykładali tym, którzy jej w „Zdroju” urzecz nie umieją.

Zakłopotani, szukając „kierunku” „Zdroju”, którego zrazu odnaleźć nie zdołacie, że nie wiadomo wam, w co właśnie uderzyć? Domagacie się hasła „starych” i hasła te nam stawiać przed oczami, abyśmy się deklarowali językiem wam przystępnym? — Czytajcie po dziesięć kroc nasze „słowo wstępne”; a może wtedy powoli „credo”, wyłożone tam niewdużacznie, jasno i bez jakichkolwiek zastrzeżeń, będzie uchwytniejsze. Ale i wtedy istoty jego nie ogarniecie, jeżeli miętne jakieś pojęcia o sztuce jarmisz was będą, pojęcia, więzione na łańcuchu celów aktualnych.

Z źródła więzienia duchowego płynie zarzut czy pochwała, że „Zdrój” „chce być zwierciadłem wszystkich kierunków artystycznych” i z tegoż źródła dziwienie, że „w zgodnym szeregu stawia się Przybyszewskiego i Or-Ot’a, Przemyskiego i Gomulickiego, Żeromskiego i Reymonta...” i t. d., a dziwienie to przeistoczy się w stróżę, kiedy obok Orkana znajdzie się Bederaki, obok Dürera — Skotarek, Kubicki, Wroniecki.

Zapewne dużo upłynie czasu, nim się nasi kuryerkowi felietoniści oswoją z kaprysmi sztuki, a wtedy przestaną ją mierzyć miarą kwadratowych kilometrów prowincji, dzielnic, krajów. Wtedy może obrydnie Sialej, który im dzisiaj nie nie mówi, cenniejszym się wyda nad produkt domorośłego wyrobnika malarskiego, którego ceną dla tego tylko, że jest „swojski”, a ujrząwszy w piśmie jedną reprodukcję obrazu obcego malarza, uderzać nie będą w strunę pseudopatrytyczną, jakoby mieli do czynienia z plamem pomijającym systematycznie dzieła sztuki polskiej. Dużo wreszcie upłynie czasu, zanim dzielnicowa chępliwość ukorzy się przed straszną a niezbitą prawdą, że Wielkopolska od lat dziesiątek straciła watek kulturalny z resztą Polaki, zanim za pusto frazesy uznane zostaną przesłanki, iż roczniki „Przeglądu Poznańskiego”, „Kuryera Poznańskiego” i „Literatury i Sztuki” stwierdzają pełnię kulturalnego życia Wielkopolski i jej

ścisłego łącznika z kulturą narodu. Zaiste — małe wymagania kultury! Bo choć Rabaki odważył się na czyn ryzykowny, aby przejąć spuściznę po Wykwałkim i godnie walczył o całość i wolność twórczego ducha — został już po trzech latach dosłownie zakrakany (dowód kultury społeczeństwa!), „Literatura i Sztuka”, pomieszczająca nieraz najcenniejsze utwory i rozprawy, dowodem była dalszych, choć ostrożnych prób w kierunku kulturalnym; był to jednak zeszycik, niedzielny dodatek gratisowy do „Dziennika Poznańskiego” i utrzymał się przez kilka lat, tylko dla tego, że nic nie kosztował. „Kuryer Poznański” zaś? — Chyba szanowny felietonista żartuje! Gazeta ta, nad wyraz cenna, jako organ polityczny i społeczny, należąca może do najlepszych pism polskich lat ostatnich, zajmowała się i zajmuje zagadnieniami sztuki tylko potocznie, a właśnie dział literacki zaniedbywała więcej niż którakolwiek z gazet, a już od lat kilku dział ten zaspokoić nie może najmniej wybrednych wymagań człowieka o duży pierwotnej. Zatem przytoczone trzy dowody nie stwierdzają jakiegokolwiek kultury naszego społeczeństwa, ale przeciwnie, krzyczącym są dowodem strasliwego barbarzyństwa, które się u nas rozpanoszyło. Zatem niech milczy, kto staje w obronie wartości kulturalnej Wielkopolski, aby nie doczekać się dowodów wprost hańbiących.

Jeżeli więc felieton kuryerowy próbuje azydzić, że dopiero „Zdrój” zadzierzgnie silne węzły duchowe z Królestwem i Galicyą, wtedy odpowiedzieć tylko możemy, że — tak jest istotnie. „Zdrój” nie jest pieświzem, który pragnie dzieła tego dokonać, zna dobrze swoich poprzedników, nad których pamięci pogrzebaniem pracują dziś wszystkie organa publiczne, a jeśli jako oni i my padniemy, to przecież posiew nasz próżnym nie będzie, jako i nie był próżnym posiew tamtych. Znajdą się następcy, którzy dokonają dzieła, jeśli nam go dokonać nie będzie danem.

U POETÓW. Karol Spitteler. Między tą garścią twórców, jakich Szwajcaryja wydała, z których każdy jednakoż przedstawia istotną potęgę twórczą, zajmuje dostojne miejsce wytworny, nawlekroć indywidualny, a bardzo mało nawet w Niemczech znany poeta Karol Spitteler. Dobięgał już Spitteler do sześćdziesiątki, kiedy się w Niemczech o istnieniu tego rzadkiego poety dowiedziano. Jego niezwykle skomplikowana organizacja twórcza, kraciwość jego subiektywizm, arystokratyczna wyłączość, zawrotna głębia myśli, niezwykła bujność i śmiałość fantazy, które cały jego twór cechują, stały oczywiście na przeszkodzie, by mógł się stać jednym z „naszych.” Dla Spittelera jest jedynym probierzem „europejskości” on wytworny rozum, który żartuje i ona dostojna wielkość, która się pobłażliwie uśmiecha... „Och jak mało tych „dobrych Europejczyków” w Europie — jak nieskończenie mało tych — Mirjamów w Polsce, którzy są w stanie odczuć tę żartującą mądrość i tę uśmiechniętą wielkość tych istotnych mędrców-poetów, których patrzy w tę przepaść poza światem, bo ta przepaść jest według Słowackiego jedynym prawdziwym światem, ruszającym się, idącym ciągle do celu, a ten świat, jest to dywanik na wywrót widziany, gdzie różne nitki wylazły i giną znów, niby bez celu i bez potrzeby. Z tamtej strony są kwiaty i ryśunek” jak ich mało!

I właśnie tę „tamtą stronę” odwarza Spitteler.

Urodził się w Liebestal pod Bazyleją w roku 1845, jako syn wysokiego urzędnika rządu szwajcarskiego, studiował dłuższy czas teologię w Bazylei i w Niemczech, spędził ośm lat w Rosji jako nauczyciel domowy, był po powrocie do ojczyzny profesorem wyższej szkoły żeńskiej w Bazylei, kierował jakimś czas felietonem „Neue Züricher Zeitung”, a potem usunął się całkiem w życie prywatne i mieszka w swej wili pod Lucerną.

Pobyt jego w Roasy, głębokie wniknięcie w literaturę i duszę rosyjską wywarł na jego twórcę głęboki i, niezatarty wpływ: jeden powód więcej, by twór jego stał się dla Niemców obcy i niezrozumiały.

Pod pseudonimem „Felika Tandern” wydał 1880-81 wspaniały epos „Prometeusz i epimeteusz”: prawdziwe ewangelium królewskich praw z wszystkich wiewów wyzwolonego człowieka, wydał tom kosmicznych poezji: „Extramundana”, dalej zbiór poezji „Schmetterlinge” a przedewszystkiem zbiór przepysznych baład, jakich równych współczesna literatura nie posiada. Ucho wytwornego muzyka, oko świętego malarza, a przedewszystkiem niezrównana siła kształcąca poety złożyła się na ten kosztowny skarb.

Pozatem jeszcze wydał szereg nowel w prozie: „Friedli der Kolderi” (1891) i najlepszy swój utwór, pisany prozą: „Konrad der Leutnant.”

SZTUKI PLASTYCZNE.

Obecne wystawy poznańskie należą do najsłabszych, jakie w ostatnich latach zwiędzały mogiły.

W „Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych” silnie działają arcytwórcy Jacka Malczewskiego a zaciekawienie budzą w fantazy nieskrepowane, samorodne prace Stanisława Kubickiego.

„Stowarzyszenie Artystów” pochłubić się może krajobrazami St. Filipkiewicza, nad którymi, góruje silna w espreasy akwarela. Zdawkowe zaś obrazy Axentowicza noszą znamię ręki mistrza, w monotonii swej jednakże mało przemawiają do widza.

ODPOWIEDZI OD REDAKCYI.

Na zapytania naszych czytelników chętnie odpowiadać będziemy — oczywiście na te tylko, które cały ich ogół głębiej zainteresować mogą. Zda się nam, że w ten sposób spełniamy zapowiedź naszego wstępnego słowa, iż pragniemy „aby ten odłam społeczeństwa, do którego się zwracamy, wziął sam jak najgorętszy, wewnętrzny udział w naszej pracy, by się czuł wewnętrznie z naszym piemem związany.

Pań M. O. w K. Pyta się Pani, dlaczego zapowiadamy tyle przekładów z autorów niemieckich. Przekłady dzieł obcych zaznajomić mają czytelników naszych z najdrogocenniejszymi a mało znanymi utworami zagranicznymi. Jeżeli zaś chodzi o przekłady dzieł niemieckich, to zauważyć musimy, że wielu z czytelników „Zdroju” nie opanowuje na tyle języka niemieckiego, by mógł odczuć piękność utworów, przez nas danych w przekładach poety tej miary, jak Miriam, które są wprost arcydziełami niezmiernie trudnej sztuki przyswajania obcych twórców ojczystemu językowi.

Wzorumy się często na kulturze i pseudokulturze niemieckiej, przyjmując wzory bez wyboru jako zbawienne — że obce, a pomijamy te utajone na dnie duszy ościennego narodu głębie, które istotnie posiadają wartość kulturalną.

Pozatem dobrze mieć w pamięci słowa, które wypowiedział Libelt, rozpoczynając kurs literatury w Poznaniu w maju 1841 r.: „Na pograniczu stron plemion odrębnych, które nienawidzi i przesady odwieczne taką mgłą nieznajomości wzajemnej obkryły, iż Niemiec z Chinami i Afryką lepiej obznajomiony był, niż z sąsiadującym sobie Słowianem, a Polak z pobratymcami swo-

imi nieznajomości nieznajomością odwzajemniając, jak przez puszcę arabaką uciekał przez Niemcy, gdy spieszył po oświatę swoją do Franków — na między takich dwu plemion osadzeni, gdy upadły dziś mgły przesady, a interes obopólny oko w oko zająć sobie każde sąsiednim plemionom — my Polacy przed wszystkimi obowiązkiem i sposobnością mamy najlepszą, rzucenie światła na Niemce i obznajmienia się z ich duchem, żywotem i pracą odwieczną.” —

Pań C. K. w P. Zarzucasz nam Pan, że „pierwsze dwa zeszyty „Zdroju” są tego rodzaju, że mogłyby być równie dobrze ukazać się w śródowniach innych, n. p. w języku niemieckim, francuskim, angielskim lub innym.” Jeżeli tak jest istotnie, to przyjąć możemy uwagę pańską za najwyższą pochwałę. Dowodzi to bowiem, że „Zdrój” stoi na wyżynie europejskiej kultury, nie zacieśniając się w opłotkach wielkopolskich, ani grzesząc szowinizmem. Człowiek prawdziwej kultury nie odróżnia dzieł sztuki według jakichkolwiek kategorii i nie ceni ich według sympaty lub antypaty do narodu, z którego wyzysły, ale według wewnętrznej wartości i twórczego wyrazu tegoż dzieła.

Wprawdzie niedostateczność kulturalna rozpoznanie to częstokroć przyćmienia nie tylko u nas, ale i w śródowniach od nas kulturalniejszych.

Dla tego dzieła nawakroś narodowe nie zjawiają łatwo uznania wśród społeczeństw obcych.

To, że lwią część sztuki polskiej obcą jest innym narodom, to bynajmniej nie umniejsza wartości dziełom polskim, ale świadectwem jest pewnej niedostateczności kulturalnej tamtych społeczeństw. My Polacy grzeszemy w tym względzie częściej i nie umiemy przyjmować w siebie czarów sztuki bez domiaszek ograniczenia ich ramą narodową. A przecież sztuka innych narodów polskiej sztuce w poprzek nie staje, przecież objawy twórcze wszystkich narodów składają się na wartość geniusza ludzkiego.

Drugą część „OPOWIEŚCI RYBAŁTA” Wacława Berenta rozpoczniemy drukować w zeszycie 5.

KSIĄŻKI NADESLANE.

Wiktor Gomułicki. *Pamiętnik kościuszkowski*. Poznań. „Ostoja”. — Tadeusz Konczyński. *Raj odzyskany (powieść)*. Poznań. „Ostoja”. — Zofia Wojnarowska. *Słowa o miłości i wojnie (poezje)*. Warszawa. St. Michałowski i S-ka. — Jan Tur. *Nauka i uczyony*. Warszawa. Gehethner i Wolff. — Ka. Dr. Czesław Sokółowski. *Problem natury w najnowszej powieści Żeromskiego*. Warszawa. „Kronika rodzinna”. — Ka. Maryan Nitecki. *Bakon Worulamski w obec filozofii wlecznej*. Warszawa. „Kronika rodzinna”. — Stefania Bojaraka. *Nasz dorobek kulturalny. I. Wielkopolska, II. Galla (2 tomy)*. Warszawa. „Kronika rodzinna”. — J. W. Kosmowska. *Naręcza żmłuchowska i entuzjastki*. Warszawa. „Kronika rodzinna”. — Zyciorysy No. 4. *Cielmy pamięć Kościuszkę!* Warszawa. „Kronika rodzinna”.

Szanownych abonentów, którzy najpóźniej do 7. względnie 22. każdego miesiąca nie otrzymają danego zeszytu „Zdroju” — prosimy o natychmiastowe reklamowanie na pocztę, względnie w biurze administracji.

Administracja Zdroju.

Redaktor naczelny i odpowiedzialny: Jerzy Hulewicz, Kościanki. — Nakładem Spółki Wydawniczej „Ostoja” w Poznaniu.

Wszelkie prawa autorskie, przekładu oraz reprodukcji zastrzeżone. Copyright by „Ostoja” Poznań — Posen.

Odbito w tłoczn „Pracy” w Poznaniu.

„OSTOJA” Spółka Wydawnicza w Poznaniu

Plac Wilhelmowski nr. 17 - - - - -

poleca swe wydawnictwa:

J. KASPROWICZ:	Sita, indyjski hymn miłości	5,20
ST. PRZYBYSZEWSKI:	Szlakiem duszy polskiej	6,50
A. NOWACZYŃSKI:	Pułaski w Ameryce	6,50
TEODOR TYC:	Facecje z dawnej Polski	3,60
BERNARD CHRZANOWSKI:	Z wybrzeża i o wybrzeżu	2,00
KS. SZYDELSKI:	Kult ogniska domowego i przodków	1,00
W. GOMULICKI:	Pamiętki Kościuszkowskie	4,80
TADEUSZ KONCZYŃSKI:	Raj odzyskany, powieść	5,40
W. PERZYŃSKI:	Bajki dla dzieci	w druku
ŻUK-SKARSZEWSKI:	Pustka, powieść	„
TADEUSZ KONCZYŃSKI:	Blaski miłości, powieść	„
WŁADYSŁAW ST. REYMONT:	Nowele	„
J. KASPROWICZ (spolszczył):	Księżyc przybierający. RABINDRANATH TAGORE	„
W. BERENT:	Opowieść rybaka, powieść	„
M. SZYJKOWSKI:	Literatura polska	„
Dr. ST. SERKOWSKI:	Bakterjologia	„
RAWITA-GAWROŃSKI:	Ostatni Chmielniczeńko	„
AD. NOWACZYŃSKI:	Szkice literackie	„
W. GOMULICKI:	O Towiańskim	„

 **Dziela powyższe nabyć można w wszystkich księgarniach** 

Skład główny na Król Polskie Gebethner & Wolff w Warszawie.

Skład główny na Galicyę Gebethner i Spółka w Krakowie.

Magazyn
eleganckich kapeluszy
damskich

A. Kempieńska
Poznań

Fabryka kapeluszy

Fabryka czapek futrzanych

Stefanja Różycka

— udziela —

lekcji śpiewu, przygo-
:- towuje do sceny :-
i estrady koncertowej

— poleca —

do agencji teatralnych
:- i koncertowych :-

Berlin - Halensee, Ringbahnstr. 10.
Tel. Uhl. 1494.

Zapisy od 20-tego Października.
Przyjmuje między 3—4.

S. KALAMAJSKI, Plac Wilhelmowski 2.

Dla Pań		Dla dzieci		Dla panów	
Bluzki	Pończochy	Sukienki	Torebki	Skarpety	Szelki
Gorsety	Rękawiczki	Trykoty	Koźnierzyki	Rękawiczki	Trykoty
Halki	Koźnierzyki	Fartuszki	Kapelusze	Krawaty	Parasole
TOWARY KRÓTKIE — KORONKI — WSTAŻKI.					

Nowości zimowe

Kostiumy	od 30 do	550 M.
Spódnice	15 "	190 "
Ulstry	38 "	360 "
Paletoty aksam. i plusz.	90 "	1200 "
Suknie	60 "	300 "
Bluzki	18 "	100 "
Halki	12 "	80 "

Płaszcz futrzane, Futra
sportowe od 200 do 2000 M.
Garnitury futrzane
od 60 do 1400 M.

M. MALINOWSKI

Najwięk. specjalny magazyn okryć damskich
Poznań, Stary Rynek 57, parter i I piętr.

STARE WINA WĘGIERSKIE

z roku 1880, 1883, 1890 itd. szlachetne
krescencye magnackie w 1/2 gąsiorkach

również

słodkie wina czerwone i żółte,
wytrawne węgierskie, samorodne,
czerwone francuskie, czerwone hiszpańskie,
burgundzkie, mozelskie, reńskie, heskie

Hurtownia win J. Kasproicz w Gnieźnie.

ATELIER REMBRANDT

właśc. S. Dobska

Zakład fotografii artystycznej

Tel. 5430

Poznań, ulica Berlińska 4

Tel. 5430